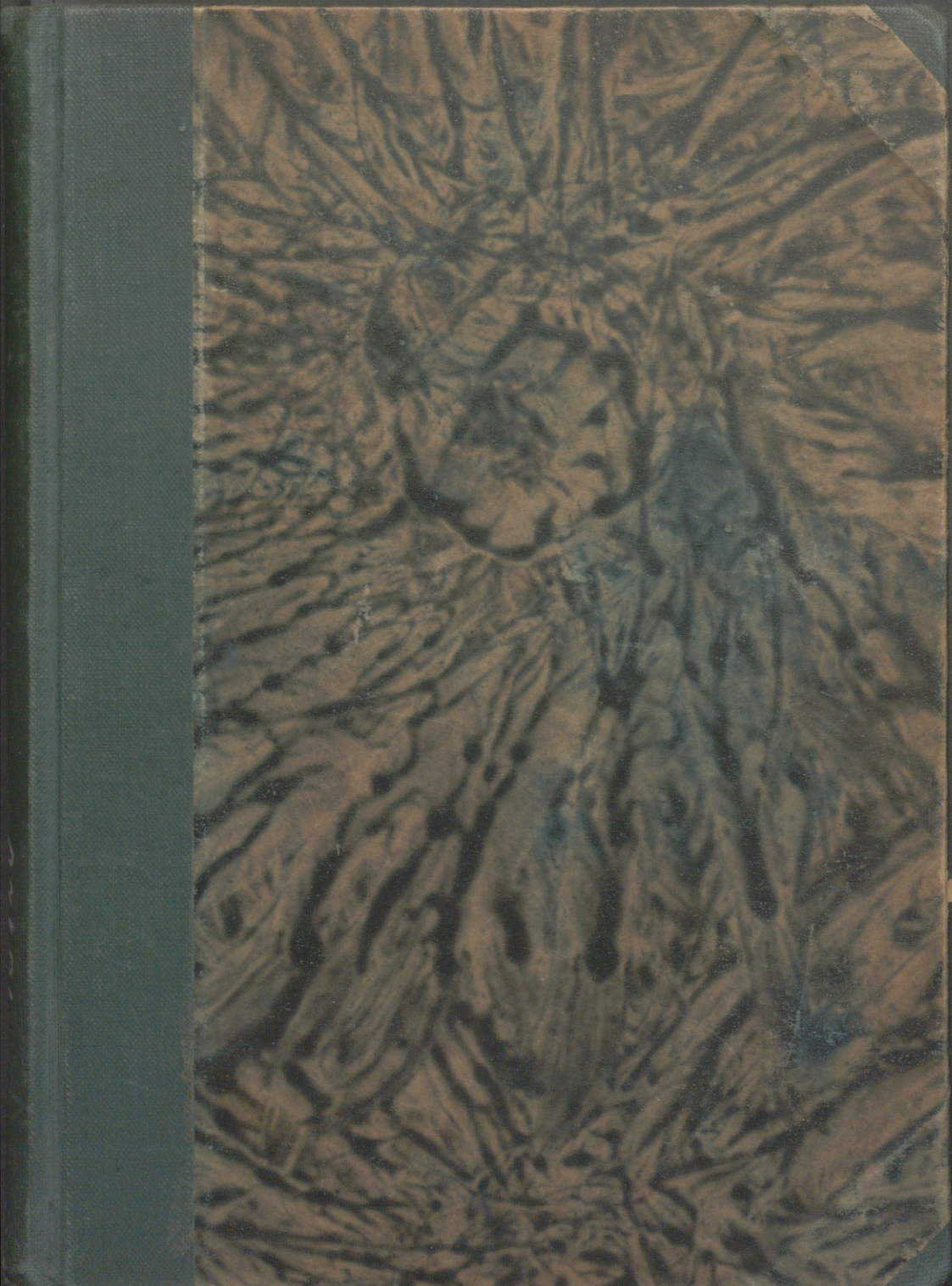


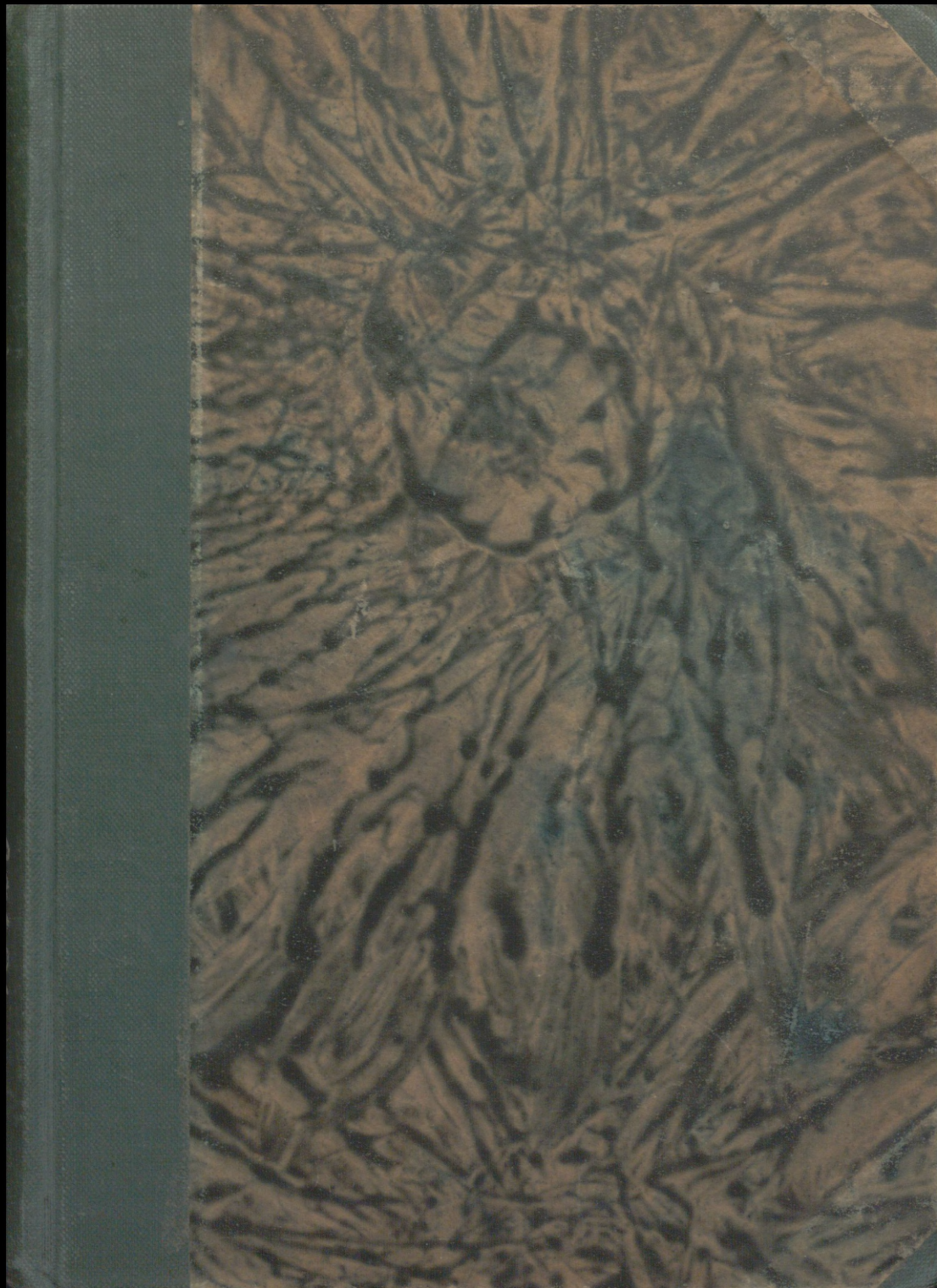


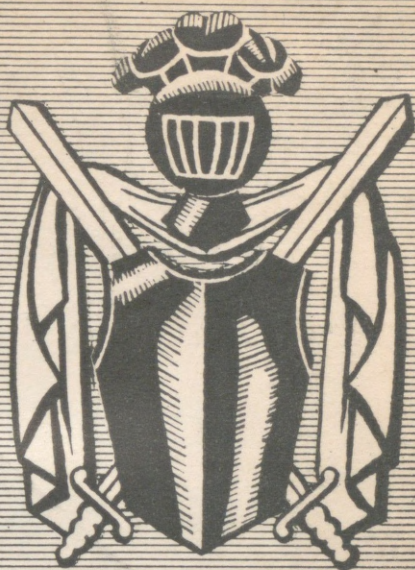
Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19







*garść
wspomnień*

SPOD

RARANCZY

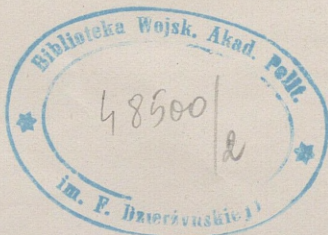
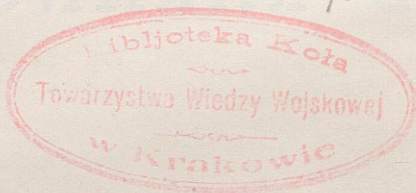
GARŚĆ WSPOMNIEŃ SPOD RARAŃCZY

dop/2



W A R S Z A W A 1 9 3 8
KOŁO 2 P. P. LEGIONÓW POLSKICH

18/20/11



*... dla Ciebie Polsko
i dla Twojej Chwały...*

15. II. 1918.

—

15. II. 1938.

*KSIĄŻKA NINIEJSZA WYDANA Z OKAZJI XX-CIA PRZEJŚCIA II
BRYGADY LEGIONÓW POLSKICH POD RARAŃCZĄ ZAWIERA
GŁÓWNIIE WSPOMNIENIA UCZESTNIKÓW-ŻOŁNIERZY 2 P. P. LEG.
POL. RELACJE UCZESTNIKÓW PRZEJŚCIA Z 3 P. P. LEG. POL. I IN-
NYCH ODDZIAŁÓW II BRYGADY UKAŻĄ SIĘ W TOMIE DRUGIM.*

... „WYPIASTOWANO TAM MYŚL
O ŻOŁNIERZU ZAJMUJĄCYM SIĘ PRAWIE
WYŁĄCZNIE SWYM FACHEM I PRZERÓBKĄ
SIEBIE NA DOBREGO ŻOŁNIERZA.”

*(Marszałek Józef Piłsudski o II Brygadzie w odczycie
p. t. „O wartości żołnierza Legionów”, wygłoszonym we Lwowie
w dniu 5 sierpnia 1923 r.)*

Koledzy! Uroczystość dzisiejsza jest uczczeniem waszej wielkiej daty. Gdy was tu widzę przed sobą, cisną mi się na usta wyrazy, wiążące się z chwałą żołnierską i nabrzmiałe serdeczną radością, bo był to dzień waszej bitwy i waszego triumfu.

Jestem żołnierzem pierwszej brygady. Gdy w tej chwili stwierdzam tę moją przynależność, to czynię to nie w chęci przeciwstawienia sobie naszych brygad.

To przeciwstawienie zbyt często i zbyt smutno, czasem smutniej, niż serce żołnierskie znieść mogło, dokonywało się w ciągu lat przy skwapliwej pomocy ludzi, zbiegiem okoliczności i zrządzeniem polskiej doli, a raczej niedoli. To przeciwstawienie działo, że pożałowano nam wspólnego placu bitwy, że uporczywie nie pozwolono naszym żołnierzom kłaść się obok siebie do grobu za Polskę, to przeciwstawienie miało w sobie tak gryzący jad, że nawet krew z tym samym poświęceniem, z tą samą żołnierską szczodrością wylana ugasić tego jadu nie mogła.

Więc gdy mówię, że jestem żołnierzem pierwszej brygady, to nie dlatego by odświeżyć smak goryczy dawno minionych dni... Inna przyczyna mną kieruje. Oto jedną z najbardziej charakterystycznych właściwości żołnierza pierwszej brygady było ogromne skąpstwo w uzewnętrznianiu swych afektów. Zawsze jakby

dziwne zażenowanie krępowało jego usta i nie dopuszczało ani patosu ani liryzmu. O najbardziej piekącym bólu nie mówiło się. A największy afekt również nie znajdował swego słowa. Jeden jedyny fakt uzewnętrzniał się w sposób nieskrępowany, pełny i śmiały — to miłość do Wodza, które to uczucie nabrało u nas wyjątkowego stylu, zezwalającego na liryzm i patos. To było nieuniknioną potrzebą duszy żołnierskiej, to było piękne i dobre.

Pozwólcież mi więc, drodzy koledzy, być skąpym w liryzmie, gdy będę mówił o waszym triumfie.

Wywołując wspomnienia z przed piętnastu laty, podzielię się z wami naszą tajemnicą. Gdy nas po aresztowaniu Komendanta szarpano i poniewierano, walczyliśmy z własnym sumieniem i dygocąc w rozterce robiliśmy rozrachunek z następującym głosem żołnierskiego instynktu.

Nie dać się rozszarpywać, nie dać poniewierać swej godności żołnierskiej, lecz wbić bagnet w pierś okupanta i skończyć mękę po żołniersku. Epilog był do przewidzenia i nie to nas powstrzymało, lecz obawa przed odwetem okupanta na społeczeństwie, które zbite i strutowane mogłoby się nas wyprzeć. Ta niezaspokojona tęsknota zmierzenia się z wrogiem w otwartym boju żyła w nas i trwała, a wieść o Rarańczy przyleciała jak daleki odzew.

Koledzy — zazdrościliśmy wam, żeście się znowu wydostali na szeroką drogę wojny. Ta zazdrość żołnierska, to nasz największy liryzm w stosunku do was. Najwyższym patosem było to, że byliśmy z was dumni!

To co dotychczas mówiłem — płynęło z serca. Teraz zaś dajmy głos analitycznej myśli. Popatrzmy na naszą wspólną przeszłość, której osią zwrotną stała się Rarańcza, jak ludzie szukający w historii narodu jej istotnego wątku, tkanego rękami pokoleń, jak ludzie szukający źródeł siły i załączków niemocy narodu.

I zapytajmy: — na co potrzebna była ta gorzka rozterka między nami, co wyrosło z waszej i naszej męki dusz, co dobrego dla naszej Ojczyzny wynikło z tych wstrząsających przeżyć, wychodzących daleko poza normalne przeżycia, cnoty i powinności żołnierskie?

Koledzy! Potrzebna była odmowa przysięgi, potrzebna była Rarańcza!

Dotykam nabolałych dawnych ran, ale wszak lekko i miło nie rodzą się historyczne siły. Potrzebna była odmowa złożenia przysięgi i potrzebna była Rarańcza z całą waszą przeszłością, aby się odrodził w naszym pokoleniu nowy nieodzowny element rozwoju i wielkości narodu, a mianowicie poczucie odpowiedzialności Polaka za los Polski. Tego elementu siły brakowało w Polsce. Wy i my tworzyliśmy go w swych duszach wśród ciężkich i twardych przejść. My w poczuciu odpowiedzialności za los Polski odmówiliśmy przysięgi. Wy, w poczuciu tej samej odpowiedzialności, uderzyliście na okopy austriackie pod Rarańczą.

Obowiązkiem naszego pokolenia jest przekazać pokoleniu następnemu nie tylko ciężką żołnierską, ale i duszę Polaka, wzbogaconą o ten nowy pierwiastek. Nie chcemy, aby historia się powtarzała, aby jakiś przyszły Stefan Batory na próżno szukał w Polsce siły.

Jakżeż to w jego oczach było? Wojna grozi Polsce, ktoś się buntuje, ktoś czai się z napaścią u granicy...

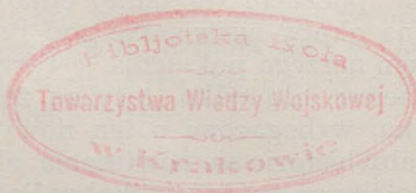
A niech tam, niech skarb będzie pusty, kraj огоłocony z wojska — nie nasza to troska i nie nasze zmartwienie. Jest król, niech on się martwi! A gdy król surowo uczy ich, że i oni, obywatele państwa, mają myśleć i pracować dla Polski, to stają się tak wyzywająco bezczelni, iż im przypomnieć musi, że nie urodził się w stajni, i nie brakło mu jadła ani odzieży, nim na prośby i nalegania Polaków przybył do Polski.

Narastanie i przebudowa naszych dusz poszła nam łatwiej, bośmy byli pod bezpośrednim wpływem Wielkiego Budowniczego nowej Polski. Wy mieliście więcej męki i zmagania.

A jak jest dzisiaj? Dzisiaj stoimy obok siebie pod rozkazami tego samego Wodza, na jednym wspólnym froncie, który się nazywa przyszłością Polski, na jednym wspólnym odcinku, którego żaden podkop nie rozdzieli!

MARSZAŁEK POLSKI EDWARD ŚMIGŁY RYDZ.

Przemówienie w dniu piętnastolecia Rarańczy 19.11.1933 r.



W XX R O C Z N I C Ę

K O L E D Z Y !

Rarańcza to bezsprzecznie jeden z najpiękniejszych czynów naszego pułku.

W chwili, gdy Polska została obrażona perfidną grą okupantów, plunęliśmy ołowiem kul karabinowych w zdradzieckich sprzymierzeńców i przeszliśmy na równie wrogie terytorium, niepewni losu, a przecież z nadzieją w sercach, że zdołamy przyciągnąć ku sobie Polaków z tamtej strony frontu i że wraz z nimi stworzymy wojsko, które kiedyś zwycięsko wkroczy do Ojczyzny.

Potem przyszedł Kaniów, po nim Kubań, Murman, Syberia...

Rozeszły się drogi legionowe: Komendant uwięziony w Magdeburgu, jego żołnierze częścią wsiąkli w teren, by oddać się podziemnej robocie P. O. W., częścią zaś w obcych mundurach na obcej walczą ziemi, lub przebywają pod strażą w obozach; my po Rarańczy weszliśmy na szlaki dalekiej tułaczki.

Różnymi drogami zdążaliśmy do jednego celu, by wreszcie razem pod jednym wodzem znaleźć się w wolnej Ojczyźnie.

W walce o Niepodległość stanowi Rarańcza ważny etap. Pamięć o tym czynie jest nam wyjątkowo droga, a rocznica Rarańczy jest dla każdego z nas „wielką datą“, jak to określił Naczelny Wódz Marszałek Śmigły Rydz w przemówieniu w dniu 19 lutego 1933 r.

W XX-lecie Rarańczy Komenda Koła 2 pułku piechoty Legionów Polskich zebrała garść wspomnień z owych dni, by rozesłać je wszystkim członkom Koła.

Niechaj te proste i szczerze wspominki żołnierskie krzepią nas w chwilach ciężkiej pracy dzisiejszej, dodają sił do dalszego ofiarnego wysiłku i niezmordowanej służby dla Rzeczypospolitej.

Warszawa, dnia 15 lutego 1938 r.

Komendant Koła 2 p. p. Leg. Pol.

MALINOWSKI

generał brygady



Sztab II Brygady Leg. Pol.
Zdjęcie dokonane na tle kasyna oficerskiego w Mamajowcach.

R A R A Ń C Z A

Już od października 1916 r. zaczął się w szeregach legionowych ciężki okres przełomowy, spowodowany dymisją Komendanta. Wrzenie to wzrastało, gdy coraz jaśniej poczęło się okazywać, że Niemcy pod pozorem utworzenia państwa polskiego, chcą tylko zdobyć z Królestwa jak najwięcej żeru armatniego i w tym celu przystępują do organizowania polskiej siły zbrojnej—zależnej jednak w zupełności od dowództwa niemieckiego. Legiony miały być użyte jako kadry tej przyszłej armii polskiej. Oddziały legionowe dały wyraz oburzenia przeciw tej podstępnej grze niemieckiej w czasie przysięgi, którą w lipcu 1917 r. mieli złożyć legioniści, pochodzący z Królestwa. Przeważna część odmówiła tego aktu, za co została internowana w obozach jeńców w Szczypiornie i Beniaminowie. Wobec tego legioniści pochodzący z Galicji, na znak protestu poczęli masowo podawać się o przeniesienie ich do szeregów austriackich.

Niemcy byli zaskoczeni tymi przejawami buntu, postanowili więc jak najprędzej pozbyć się Legionów z Królestwa. Wskutek tego, z początkiem września 1917 r. resztki Polskiego Korpusu Posiłkowego znalazły się w Przemyśle i jego okolicach. Z sześciu pułków piechoty, 2 pułków ułanów i pułku artylerii pozostało w szeregach ledwo dwa pułki piechoty, jeden kawalerii i kilka baterij. Były one złożone niemal wyłącznie z żołnierzy II Brygady. Taki zaś a nie inny skład tych resztek, które wytrzymały pod bronią — nie był dziełem przypadku, lecz wypływał z odręb-

nego nastawienia psychicznego, z odrębnego od dwu innych brygad pojmowania środków, za pomocą których, miano dojść do uzyskania niepodległości Ojczyzny.

Bardzo trafnie scharakteryzował ideologię II Brygady Marszałek Piłsudski mówiąc o niej:

„Tam było zawsze mniej politycznych motywów, samodzielnie przez legionistów wysnutych, nie było tam mnie, jako przedstawiciela politycznej przekory w stosunku do małych ambicji polskich w społeczeństwie. Natomiast bardziej jaskrawo, bardziej wyraziście wypiaślowano tam myśl o żołnierzu, zajmującym się prawie wyłącznie swym fachem i przeróbką siebie na dobrego żołnierza“.

II Brygada, działając przeważnie z dala od I Brygady nie miała wśród siebie Twórcy czynu zbrojnego — i nie mogła skutkiem tego przejąć się jego programem wytycznym. Z konieczności więc musiała sobie postawić skromniejsze cele — doraźne, które streszczały się głównie w tym, by wyszkolić się na dobrego żołnierza polskiego i wytrwać jak najdłużej — na posterunku.

Z tego też powodu w dobie przełomu przysięgowego, choć i tam pojawiły się prądy podzielenia losu innych brygad — przecież przeważało zdanie nieskładania broni — okrytej chwałą, zdobytą w tylu bitwach i czekania na moment, kiedy własny rząd powoła ją do służby czynnej dla własnej Sprawy służby.

Żywiąc więc tę nadzieję — służenia kiedyś z bronią w rękę swej Ojczyźnie — II Brygada poddała się dalszym losom. Były one bardzo smutne. Z końcem października 1917 r. po przeprowadzonej „czystce“ przez specjalnie nasłanego feldmarszałka Schillinga, Brygada została rzucona na dawniej już sobie dobrze znany front bukowiński. Stała zrazu w odwodzie trzeciej armii austriackiej w rejonie Kocmania. Następnie zluźowała oddziały austriackie i zajęła 24 listopada odcinek okopów pod Rarańczą.

W tym właśnie czasie (7 listopada) dokonał się w Rosji przewrót bolszewicki, który odbił się zaraz na rosyjskich oddziałach frontowych. Dyscyplina zupełnie upadła. Obsada okopów coraz silniej się przerzedzała. Poczęły się napady na oficerów itp., skutkiem tego 29 listopada zawarły dowództwa wojsk rosyjskich, austriackich i pruskich zawieszenie broni na części frontu bukowińskiego. W takim stanie rzeczy niepotrzebne już były oddziały na tym odcinku, toteż z początkiem grudnia — wycofano brygadę z okopów w rejon Mamajowiec, co zresztą w pewnej mierze łączyło się z przeglądem jej, który przeprowadził 10. grudnia cesarz austriacki Karol.

Brygada wówczas obejmowała dwa pułki piechoty — 2-gi i 3-ci, stacjonowane w okolicach Łużan i Mamajowiec oraz pułk artylerii, rozłożony w rejonie Kocmania i liczyła około 200 oficerów oraz przeszło 4.000 szeregowych. 2-gi pułk ułanów został odesłany do Synowódzka, ponadto zaś w Bolechowie znajdowały się oddziały uzupełnień.

Mimo zawieszenia broni na froncie i rozpoczęcia układów pokojowych w Brześciu przez państwa centralne z przedstawicielami Rosji i Ukrainy — brygada, choć wszystko zapowiadało zbliżający się rychło pokój na wschodzie, przecież — nie oglądając się na to, podjęła bardzo intensywne szkolenie wszystkich jednostek.

Wśród takich to zajęć — 12 lutego 1918 r. spada na brygadę grom. Nadchodzi wieść o zawarciu 9 lutego pokoju w Brześciu. mocą którego państwa centralne oderwały cały kawał Królestwa (Chełmszczyznę) i ofiarowały go nowopowstającemu państwu ukraińskiemu. Szeregi legionowe zawrzały oburzeniem na to frymarczenie ziemią polską przez sprzymierzeńców, na tę krzywdę zadaną Ojczyźnie.

Rodziły się coraz nowe pomysły czynnego zaprotestowania przeciw temu aktowi. Nazajutrz dowództwo brygady wydało rozkaz oficerski, wzywający do nietracenia zimnej krwi, niezbędnej dla znalezienia takiego wyjścia, by nie tylko cios ten odepchnąć, ale by także raz na zawsze utrzymać całość naszych ziem.

Tegoż dnia odbyło się przed południem nabożeństwo żałobne za duszę ś. p. majora Mężyńskiego z 2 p. p. Leg. Pół., potem odprawa u gen. Zielińskiego, który starał się działać uspakajająco na wzburzone umysły, a wreszcie zebranie oficerskie wyższych przeawanie oficerów, na którym zastanawiano się co dalej czynić należy.

Wyłoniło się tam kilka pomysłów z których dwa były najpoważniej rozważane. Jeden przebiegał przez front austriacki do utworzonego po stronie rosyjskiej Korpusu Polskiego gen. Dowbór Muśnickiego, o którym jednak nie miano dokładnej wiadomości, gdzie się znajduje, a drugi — wejścia na drogę tajnej pracy P. O. W.

Ostatecznie przeważała myśl pierwsza. Wieczorem więc 14 lutego na radzie oficerskiej ułożono plan działania.

Pod pozorem nocnych ćwiczeń, miały wszystkie oddziały wyruszyć 15 lutego o godz. 18 ze swych miejsc postoju przez Sadową Górę na Rarańczę, przejść pod tą miejscowością przez bardzo słabo obsadzony front austriacki i udać się w kierunku korpusu Dowbór-Muśnickiego.

Plan ten został przeprowadzony z pewnymi zmianami, wynikłymi z toku samej akcji. Stosownie do rozkazu operacyjnego, opracowanego na odprawie u dowódcy 3 p. p. p. mjr. Zajęca, piechota wyruszyła 15 lutego o godzinie 18 ze swych miejsc postoju w kierunku Rarańczy. Choć zawczasu została przerwana

się połączeń telefonicznych i telegraficznych między dowódcami austriackimi — te ostatnie jednak mając już skierowaną uwagę na podejrzane ruchy legionistów, nie zostały zaskoczone wydarzeniami.

Sztab austriacki, przypuszczając, że oddziały legionowe mają zamiar przejść na stronę rosyjską, zdołał już zaalarmować dwie dywizje piechoty i tyleż kawalerii i wydał im rozkazy okrążenia II. Brygady podczas marszu.

Otoczenie to odbywało się dość szerokim promieniem tak, że oddziały legionowe odbyły znaczną część drogi w zupełnym spokoju.

Dopiero w pobliżu Rarańczy pułk drugi, idący na przedzie natknął się o północy na 53 pułk austriacki. Pułk ten, po krótkiej walce, został zupełnie rozbity, a pułk drugi, utorowawszy sobie wstępnym bojem drogę, przeszedł już o świcie przez znane sobie doskonale okopy i znalazł się po bardzo uciążliwym marszu na ich przedpolu. Wkrótce nadciągnął inną nieco drogą pułk trzeci. Tak więc oba pułki piechoty znalazły się po stronie rosyjskiej. Austriacy nie ścigali ich — ograniczyli się tylko do ostrzeliwania maszerującej piechoty przez artylerię, która zadała pewne straty pułkowi trzeciemu. Skutkiem jednak manewru okrążającego zostały odcięte: artyleria, tabor i zakłady, które z powodu rozlicznych przeszkód nie mogły zdążyć w marszu za piechotą.

W rezultacie żołnierze II Brygady zostali podzieleni przez te wydarzenia na dwie części — jedna poszła pod Kaniów — skąd następnie wśród najrozmaitszych, nieraz tragicznych przeżyć — dotarła przez bolszewicką Rosję, na Murman, na Syberię, Kaukaz i do Francji, drugą pod bagietami odtransportowano do obozu jeńców w Huszt, Saldobosz i Marmaros-Sziget.



Czyn 15 lutego był kulminacyjnym punktem napięcia sił ideowych II Brygady, która nawskróś przesiąknięta duchem żołnierskim, po żołniersku też z bronią w rękę zaprotestowała przeciw wrogim zakusom na ojczystą ziemię — wypowiadając wojnę państwowym sprzymierzonym.

Czyn 15 lutego — to nie narzucona rozkazem wola jednego, czy małej grupki — to odruch spontaniczny całej brygady, tak oficerów jak i żołnierzy — jak najściślej jedną myślą zespolonych.

Ruszyli, rzucając wszystko co mieli drogiego, ruszyli w nieznaną drogę, by tam na dalekich terenach Rosji znowu stworzyć silną armię polską, któraby podjęła ostateczny bój o niepodległość Ojczyzny. Te piękne zamiary nie udały się. Jednakże zbrojny protest II Brygady miał doniosłe skutki. Wywołał olbrzymie wrażenie w całym kraju i umocnił ducha oporu przeciw okupantom. Co więcej spowodował nawet, dzięki bezpośredniej interwencji kpt. Gniadego oficjalne wystąpienie przeciw traktatowi brzeskiemu przedstawicieli znajdujących się w Rumunii, Anglii i Francji, Włoch oraz Stanów Zjednoczonych, którzy na piśmie stwierdzili, że państwa te nie uznają traktatów pokojowych, zawartych bez zgody koalicji i że jednym z głównych w tej wojnie jej celów jest wskrzeszenie Polski w granicach etnograficznych.

Tak więc czyn II Brygady nie poszedł na marne. Jeżeli go w obecnej chwili, gdy mija 20 lat — przywołujemy na pamięć, to tylko jako fakt dobrze spełnionego wobec Ojczyzny obowiązku żołnierskiego.

Bronisław Pawłowski.

STARYM SZLAKIEM

*Starym Ojców naszych szlakiem
przez krew idziem ku wolności!...
my — żołnierze sercem prości,
Z dawną pieśnią — dawnym znakiem,
silni wiarą i nadzieją,
że tam, kędyś, świty dniają!*

*Zawołały ku nam z dala
starych haseł złote dzwony!
Zaszumiła kłosów fala...
wiatr z dalekiej powiał strony,
i na złotym grał nam rogu
pieśń o Sławie — i o wrogu!*

*Zamarzyły się nam czyny
z pod Grochowa — Ostrołęki!
Krwawych ojców, krwawe syny
zapraǳeliśmy świeżej męki,
bowiem w grobach kości stare
wciąż wołały: „Exoriare“!*

*Starym Ojców naszych szlakiem
przez krew idziem w nowe zorze!
Z dawną pieśnią — dawnym znakiem,
po wyroki idziem boże
w przelomowej dziejów chwili,
którą w snach my wymodlili!*

Niech za nami nikt nie woła!
Niech tam po nas nikt nie płacze!
górką jasną niesięm czoła —
radość w piersiach nam kołacze,
duma ogniem lica płoni,
że idziemy — jako Oni!

Starym Ojców naszych szlakiem
przez krew idziem w jutro wschody,
z dawną pieśnią, dawnym znakiem,
na śmiertelne idziem gody,
by z krwi naszej życie wzięła
Ta — co jeszcze nie zginęła!

Józef Mączka.

POSIEWIPLON

Przełom.

Jeszcze nie zastygły pieczęcie traktatu brzeskiego, zawartego dnia 9.II.1918 r. przez Niemcy i Austrię z Ukrainą i przyznającego jej terytoria rdzennie polskie, gdy front austriacki pod Czerniowcami został zaatakowany i przerwany!

„Zbuntowana“ polska Brygada Legionów, ćwicząca od dłuższego czasu z podejrzanym zapalem, uderzyła w nocy z 15 na 16 lutego 1918 roku, zerwała i przeszła pod Rarańczą front austriacki, chyłący się ku końcowi wojny, rozbudowany w tysiące okopów, korytarzy, schronów, zakopany w podziemny dobrobyt ciepła i smrodu żelaznych piecyków okopowych i wegetujący wśród lenistwa sztabów, próżnujących w menażach oficerskich.

Pod granatami Rarańczy, przy strwożonym, trzepocącym blasku austriackich rakiet, prysła wreszcie narosła skorupa zarzutów, szyderstw i posądzeń, że II karpacka Brygada Legionów, to austriackie dusze w legionowej skórze.

Huk strzałów pod Rarańczą rozległ się bardzo głośno. Tak głośno, że usłyszano go w całym kraju, we wszystkich goręcej bijących sercach Polaków. Usłyszano go na froncie włoskim wśród starej wiary legionowej, usłyszano też w Jassach na posiedzeniu ambasadorów Francji, Anglii, Stanów Zjednoczonych i Włoch, gdzie pierwszą wiadomość o przebyciu brygady przywiózł angielski oficer kpt. Gemson i gdzie dnia 9 marca 1918 r. dokładnie w miesiąc po niecnej pamięci traktacie brzeskim, zasiadł wraz

z „Komitetem Polaków Frontu Rumuńskiego“, major II Brygady Legionów Władysław Gniady Trzeciecki do podpisania oficjalnej deklaracji państw Ententy o niepodległości Polski.

Stara metternichowska polityka austriackich mężów stanu i generałów, chowając poszczerbioną od czynu polskiej szabli szpadek perfidii brzeskiej, kiwała ze zgrozą głową: „To było do przewidzenia! ci Polacy!“

A tymczasem Brygada, upojona swym czynem, dumna, że danym jej było tak za cały naród, na odlew, za brzeski cios odpowiedzieć ciosem, radosna tym rycerskim porywem maszerowała nad Dniepr.

Stu oficerów i około 1800 legionistów, tj. sztab Brygady, 2 i 3 p. p. Legionów przeszły wśród całonocnej walki i trudu, przy akompaniamencie gorączkowej kanonady, labirynt trzech pozycji pod Rarańczą i poszły w głąb Ukrainy.

Uratować tych starych karpaczyków, urzeczywistnić marzenie o staniu się kadrą regularnego wojska polskiego!

Wywieść za granicę ten zwarty, hartowny zastęp żołnierskiej wiary legionowej, gdy wódz Legionów więziony w Magdeburgu, w kraju rozsiedli się okupanci, kształtując szczupły Wehrmacht na własną, posłuszną modłę, gdy większość pułków legionowych rozbita, rozproszona na froncie włoskim, gdy wreszcie tam ponoć organizują się oddziały polskie z żołnierzy Polaków z byłej armii rosyjskiej.

Zebrać, skupić tych Polaków rozproszonych poza krajem, na Ukrainie, na terenie Rosji, stworzyć tam gdzieś w gubernii czernihowskiej nowe mocne wojsko polskie i stanąć z nim do walki o ostateczne wyswobodzenie Ojczyzny!

Zaiste — dziwny to był marsz!

Marsz w przestrzeń i marsz w marzenia!

Łutowa śnieżycą chłodziła płonące skronie, kojąc tętno spragnionych serc żołnierskich.

Nogi mierzyły za leniwie przestrzeń, bo dusze leciały jak na skrzydłach.

Co krok stare pobojowiska — Rokitna, Chocim, Żwaniec, Kitajgorod, Jampol, Soroki, Humań i Kaniów.

Na progu tej drogi 16 lutego rankiem, gdy zebrane w kolumny w głębokiej dolince Rokitnianki pułki wyszły na wzgórza rokitniańskie, artyleria austriacka zarzuciła je deszczem szrapneli i granatów, zmuszając do rozsypania się w luźne formacje na polu słynnej szarży z r. 1915, gdzie płynęły jeszcze cienie rotmistrza Wąsowicza i poległych z nim bohaterów, wiodąc jak sztandary młodszą wiarę żołnierską. U kresu marszu dnia 11 maja 1918 roku nad Dnieprem przywitały też żołnierzy II Brygady i II Korpusu bagnety i armaty niemieckie, rozpoczynające zdraziecki bój pod Kaniowem.

Sam marsz 600 kilometrowy z nad Prutu wzdłuż Dniestru, przez Boh nad Dniepr, to wyścig nóg leguńskich i zajmującej linie kolejowe ekspedycji niemiecko-austriackiej.

Od 15 lutego do 6 marca przebywa II Brygada Legionów 300 kilometrów szybkimi marszami przez Chocim, Żwaniec, a następnie, mijając Kamieniec Podolski, przez Ostrowczany, Paniowce, Kitajgorod, Buczaj, Wierzbowce, Kuryłowce, Ożaryńce, Wojewodyńce i Bukatyńkę zdąża do Jampola.

Pierwotnie zamierzony kierunek na Kijów i Czernichów musiał w kilka dni po przejściu ulec zmianie, pod ciężarem wiadomości otrzymanej już pod Kamieńcem Podolskim, że Korpus Polski, organizowany w Mińsku, zawarł układ z Niemcami, oraz faktu, że okupanci wkroczyli 27.II.1918 na Ukrainę, zajęli Płoskirów i posuwają się liniami kolejowymi na Zmierzynkę odcinając tym samym Brygadę od Kijowa.

Ten marsz wzdłuż Dniestru to najromantyczniejsza część drogi II Brygady Legionów.

Odbywa ją Brygada samotnie i w skupieniu, w jakiejś radosnej zadumie i równocześnie czujnej żołnierskiej baczności.

Rozsypane, pod ogniem artylerii austriackiej, fale tyralier, zbiera koło Ryngacza; nagle zabrzmiała „Wojenka“ podjęta z tysiąca piersi jak radość, jak duma, jak triumf!

Noc 19 lutego 1918 mruga iskrzącymi oczami gwiazd. Olbrzymi ciemny wąż kolumny, szeleszczący skrzypieniem śniegu i cichym poszumem szeptów, okrąża wolno rozpasany, wreszczący, płonący ogniskami i strzelający bezładnie Chocim, i mija go. Noc zasłania gwiazdy welonem życzliwej, wszystko kryjącej mgły, a straciwszy szarych żołnierzyków z oczu, zatroskana, odkrywa ich dopiero na moście pod Żwańcem nad chrzęszczącą ogromnymi krami ciemną głębiną Dniestru.

Przed dworkiem na krańcu miasteczka Żwańca gromadzą się żołnierze. Starsi oficerowie Brygady raz po raz wchodzą i wychodzą. Wreszcie ukazuje się dwóch z rosyjska odzianych, a jedynie z odmiennych odznak na rękawach rozpoznawanych oficerów. To Polacy! Pierwsi oficerowie Polacy z tamtej strony! „Idą z nami!“

Po szkarpie opuszcza się dwójkami wydłużona kolumna, schodząc wąziutką drogą w głęboki jar Kitajgorodu. „To jakiś Pantyr albo Pristop pod Kirlibabą, na odwyrtkę w dół“ — śmieje się stara wiara karpacka. „Tu ino jakiej czarownicy patrzeć!“

Codziennie wczesne ranki sypią jeszcze śniegiem na zbierające się po wsiach bataliony. Przy raportach nie brak nigdy nikogo. Podczas całego marszu Brygady został jeden jedyny ciężko zachorzały żołnierz w szpitalu w Kamieńcu Podolskim.

Dziwne wojsko! Mówili ludzie w Wierzbowcach, że śpiewali rano wszyscy modlitwę żołnierską, a potem jakąś dziwną pieśń,

która wybuchła z ich piersi z taką mocą, że chłopci pochowali się do chat, żegnając się zabobonnie.

Tymczasem odmet dziejowych wydarzeń miota wątlým okrętem II Brygady jak łupiną. Ogarniają go ze wszech stron ogromne fale dzikiej demobilizacji rosyjskiej. Bolszewicy puścili wszystkich żołnierzy do domu. W każdej chałupie karabin. „Władze“ odebrały broń tylko drobnym, rozproszonym oddziałkom Polaków, grupującym się w okół Kamieńca.

„Obiezoruzyt'sia!“ brzmi wrzaskliwe hasło dookoła Brygady.

Trzeba politykować, wymykać się, tłumaczyć przyjazną neutralnością dla Rosji, a czasem pokazywać zęby.

Zaledwie jednak zdołano uzyskać u bolszewików swobodę działania, falę bolszewicką zmiata wnet druga fala. 27 lutego wkraczają Austriacy i Niemcy na Ukrainę i zajmują szybko Kamieniec Podolski i Płoskirów. Władze i d-ctwa bolszewickie odpływają w panice na wschód, stawiając Brygadzie do dyspozycji eszelony, z których ona naturalnie nie skorzysta.

Gdzież jednak zajdzie marszami pieszymi, gdy wszystkie te ruchy wymijają ją kolejami?

Cały projekt zorganizowania pierwszego punktu zbornego Polaków w Barze upada. Forsownymi marszami zdąża II Brygada wzdłuż Dniestru do Sorok, by stanąć na „neutralnym“ terytorium bessarabskim i dociera tam 6 marca 1918 r.

Przyjęta z otwartymi rękami przez Polski Komitet Wykonawczy Frontu Rumuńskiego łączy się Brygada Karpacka z II Korpusem Wojsk Polskich, z którym odbędzie teraz razem drugą część swego marszu przez Ukrainę i dojdzie do Dniepru pod Kaniów.

Jak w Legionach zesłi się Polacy z różnych dzielnic Polski, tak tu po raz pierwszy spotykają się dwa odrębne typy żołnier-

skie z obu stron byłego frontu. Młody żołnierz legionowy i starszy wąsaty Polak - rezerwista z b. armii rosyjskiej.

Czyż dadzą się pogodzić te dwa tak różne elementy? Druga Brygada wie dzie na wschód za Dniepr, a tamci, spragnieni pokoju, unoszący z morza bolszewickiego głowę i tęsknotę za krajem, patrzą na zachód.

A jednak w tym drugim etapie wspólnego z II Korpusem marszu ma się urzeczywistnić drugi planowany i upragniony cel karpaczyków.

Kadra!

Staną się teraz kadra II Korpusu, wzmocnią, przepoją swą wiarą i ideologią jego szeregi, przekształcą bierniejszych, zmęczonych wojną żołnierzy Korpusu na rzutkich, chętnych, życzliwych wiarusów.

Komitet wykonawczy II Korpusu przyznaje w 2 numerze „Wolnego Słowa“ iż „ideowe, fachowe wychowanie formacyj polskich na froncie rumuńskim winno być doprowadzone do tejże doskonałości, jak przygotowanie Żelaznej Brygady“.

Zaraz w pierwszych tygodniach współpracy zaczęto przydzielać oficerów i szeregowych Brygady do oddziałów Korpusu.

Dowódca II Brygady zapowiada tę pracę w rozkazie w następujących gorących słowach: „Wzmocniwszy fizyczne siły Korpusu naszymi dwoma tysiącami żołnierzy, dokonaliśmy zaledwie połowy naszego dzieła. Na tym bowiem misja nasza nie kończy się, musimy wzmocnić na duchu naszych towarzyszy broni. Oficerowie i szeregowi Brygady, poprzydzielani do wszelkich oddziałów Korpusu mają być apostołami, niosącymi wiarę w siebie, we własne siły w odrodzenie i nadzieję lepszego jutra, mają zaszczerpić w braciach z Korpusu miłość i zaufanie do nas. Trzeba bowiem, gdy przyjdą ciężkie czasy, aby wytrwali z nami“.

To też trzeba było widzieć takiego, nieraz gołowąsego leguna, w drużynie starszych Polaków, żołnierzy z b. armii rosyjskiej. Pan instruktor marszczył się i sztorcował, „pokazywał i uczył“, ale przede wszystkim ruszał się, opowiadał, śpiewał i porywał młodością, zapałem, szczerością i gorliwością.

Zwarta więc żołnierskiego przywiązania między oficerem a szeregowcem Brygady, prostota obejścia i znajomość pracy wojskowej zjednały wkrótce oficerów i żołnierzy Korpusu dla osiągnięcia jeszcze ściślejszej zwartości organizacyjnej i ideowej.

Z końcem marca rozwiązano w czasie reorganizacji w Humanu zupełnie oba pułki legionowe i rozdzielono oficerów i szeregowych legionowych między wszystkie pułki II Korpusu.

Temu też bliskiemu poznaniu i żżyciu się zawdzięczać należy fakt, że cały II Korpus poszedł trudną drogą koncepcji II Karpackiej Brygady, a nie ugodowymi szlakami demobilizacyjnymi, ukazywanymi ponętnie przez okupantów.

Cała ta praca dokonywa się już w marszu przez Czczelnik i Berszadę do Humania. II Korpus, zmuszony opuścić Soroki, przyznane traktatem pokojowym Rumunii, postanawia przemaszerować za Dniepr, połączyć się tam z częściami I Korpusu i tworzyć exterytorialnie armię polską.

Po przełomie w Olgopolu 24.III.1918, Korpus, którego d-ctwo obejmuje brygadier Haller, przekracza 28.III rzekę Boh, 6.IV staje w Humanu, a następnie przez Mańkówkę, Terpiłówkę, Medwin, Bogusław dociera 17.IV do stacji kolejowej Mironówka, gdzie po raz pierwszy dwa szturmowe bataliony Niemców zastępują mu drogę.

Zbliża się: Bitwa!

Na razie Niemcy mają za mało sił. Dopiero je skupiają. Rozbijają drobniejsze oddziały, zmierzające do II Korpusu.

Pozornie pertraktują z władzami i d-ctwem polskim w Kijowie, osobno piszą raporty do Warszawy, osobno wysyłają swych posłów do dowództwa Korpusu do Humania i do Masłówki, proponując układy.

Rada Regencyjna Królestwa Polskiego w uroczystym liście do II Korpusu z 21.IV.1918 roku pisze: „Wyrażamy stanowcze życzenie, aby oddziały polskie (II Korpus) pozostały w miejscu obecnego postoju i nie przedsiębrały żadnych kroków, któreby w czymkolwiek przesądzały nasze późniejsze postanowienia“. — Rada Regencyjna żąda bezwzględnego poddania się pod jej rozkazy, dyktując II Korpusowi jako maximum tego do czego mu dążyć wolno „analogiczne warunki, w jakich stanął I Korpus na Białej Rusi“.

Równocześnie zaś zewsząd z włoskiego frontu od rozproszonych tam kolegów i z kraju przychodzą różnymi drogami serdeczne listy, pełne entuzjazmu i zachęty. Wysłańcy P. O. W. z Kijowa i Moskwy przywożą generałowi Hallerowi wiadomości o całej sieci i robocie Polskiej Organizacji Wojskowej na Ukrainie i dalej na terenie Rosji. Wysłańcy społeczeństwa polskiego z Kijowa przywożą zasiłki pieniężne do kasy Korpusu. Przybywają jeszcze wciąż oficerowie z kraju. A wiosenny, porywczy wicher łopoce niespokojnie proporcem Korpusu zatkniętym nad brzegiem Dniepru!

Dnia 1 maja 1918 r. stawiają Niemcy w Kijowie po raz pierwszy żądanie demobilizacji Korpusów Polskich i poddania ich pod rozkazy niemieckiego dowództwa. Generał Osiński, naówczas naczelny dowódca Wojsk Polskich na Ukrainie, odsyła ich z tym żądaniem do rządu polskiego w Warszawie, tj. do Rady Regencyjnej. Ale Niemcy się spieszą. Wprowadziwszy powolny sobie rząd hetmana Skoropadzkiego, zaczynają ciasnym pierścieniem

swobodniejszych już teraz wojsk opasywać Korpus i przypierać go do Dniepru, którym również barkami jadą bataliony szturmowe pod Kaniów.

Dnia 6.V ponawiają Niemcy znów ultimatum, tym razem przywiezione przez oficera sztabu jednej z dywizyj otaczających Korpus. Stanowcza odmowa d-cy korpusu i zarządzone niezwłocznie alarm, wywołują wycofanie ultimatum i formalne przeproszenie za rzekomą pomyłkę.

Jest to ostatnia sprytna próba niemiecka pokonania Korpusu bez większych kosztów.

Jeszcze cztery dni i 11 maja o godzinie 4 rano zorganizowane ogólne natarcie 14-tu batalionów piechoty, 3 pułków huzarów i kilku baterij wychodzi z trzech stron koncentrycznie na Korpus częściowo tylko przygotowany. Wszędzie jednak napotyka natarcie na zaciekły opór. Zaskoczeni w Potoku i Kozinie żołnierze walczą milcząco i z furią.

4 kompania 14 p. strzelców, otoczona przez Niemców obok cerkwi w Kozinie, roznosi na bagnietach niemieckich piechurów i dopiero zalana ich masą ginie prawie cała wokół swego dowódcy kapitana Rudolfa Brandysa, poległego pod 23 pchnięciami bagnietów niemieckich.

O 8 rano Korpus z pewnymi stratami, trzymając setkę jeńców niemieckich w garści, zajmuje pozycję obronną, którą ponownie, daleko już ostrożniej, atakują Niemcy.

Bitwa ta, zwana bitwą pod Kaniowem, trwa przez cały dzień do zmierzchu, aż do momentu, gdy brak amunicji zmusił poszczególnie oddziały II Korpusu do zamilknięcia.

Dziś pozostało po samej bitwie tylko wspomnienie. Pamięć o 5 mogiłkach oficerskich i czterdziestu kilku żołnierskich koło cerkwi w Kozinie, na których chłopci ukraińscy wypisali po rusku na krzyżu bezimienne „Bohaterom swojej ojczyzny“.

Została pamięć o komunikacie niemieckim, obliczającym straty Niemców na 1500 zabitych i rannych, odsyłanych barkami do Kijowa.

Ale ponadto wszystko zostało jasne poczucie jednego z najpiękniejszych porywów ducha żołnierskiego, poczucie prawdy o ambicji i ideowości żołnierza polskiego, który rad widzi w oficerze starszego, uczeńszego kolegę, a wdzięczny za trochę serca, szczerości i zaufania, odplacić mu umie stokrotnie koleżeństwem wiary i przywiązania.

Tą wiarą i przywiązaniem, wspólnotą ideowego zadania porwani do czynu żołnierze II Karpackiej Brygady Legionów ziścili wiernie wszystkie trzy cele, jakie sobie Brygada pod Rarańczą postawiła:

Zaprotestowali czynem zbrojnym przeciw czwartemu rozbirowi Polski!

Poszli dobrowolnie po bitwie kaniowskiej, skupiając się grupkami na Ukrainie, na dalekie szlaki tułaczki na Murman, na Syberię, nad Don.

Stali się kadrą wojskowych Polaków, rozproszonych za granicami kraju po wszystkich kątach świata.

I choć setki ich legło dla Polski w syberyjskich tajgach i w śniegach mrocznej, zimowej nocy murmańskiej, w naddońskich stepach spiekłej ziemi, a nawet na dnie mórz dalekich, reszta przywiodła do wolnej i niepodległej Ojczyzny tysiące wiernych i rzetelnych żołnierzy.

Taki był posiew i plon czynu 15 lutego 1918 roku.

Tadeusz Malinowski.

11 K O M P A N I A

A więc nareszcie rokowania pokojowe! Wycofano nas z okopów pod Rarańczą i rozkwaterowano w Starych Mamajowcach na Bukowinie. Kompania odbywa ćwiczenia. Szkolimy się!.. W jakim celu?!... Nie orientujemy się zupełnie w sytuacji politycznej. Po okresie przysięgowym powstał zupełny chaos. Oddano nas z powrotem Austrii. Robią nam nadzieję powrotu do Kongresówki jako kadry Wojska Polskiego.

Nie dowierzamy Austrii i Niemcom. Pokładamy niewielkie nadzieje, aby rząd polski i Rada Regencyjna postawiły silnie naszą sprawę. O rokowaniach w Brześciu dochodzą nas głuche wieści. Wiemy tylko, że tam radzą o nas, bez nas. Łykamy chętnie wszelkie wieści o potężnej, półmilionowej armii polskiej w Rosji. Dowbór Muśnicki w oczach naszych rośnie do rozmiarów wielkiego męża stanu, z którym się państwa centralne „będą musiały liczyć“. Ostatecznie biorąc jesteśmy ...zupełnie nieorientowani. Przed zgrają różnych myśli uciekamy do pracy.

Szkolimy naszego żołnierza. Szkolimy się sami. 11-ta kompania jest moim wypoczynkiem, ucieczką przed nawałem ciężkich rozmyślań. Wiara w przyszłość, jest moją siłą.

Już dawno minęły złe słowa, kary, złośliwe uśmiechy i spojrzenia. Bieda ostatnich miesięcy, skojarzyła nas nierozłącznie. Przeżycia scementowały wspólnego ducha. Kochamy się wzajemnie.

Ćwiczenia przed południem prowadzę osobiście. Są wszyscy oficerowie: ś. p. Mierzwiński, Wójcik i Michalecki.

Od kilku miesięcy już nie ma kary w kompanii. Dzisiaj największą karą dla żołnierza jedenastej kompanii to moje spojrzenie. My się już tak dobrze rozumiemy, że spojrzenie wystarczy.

Oficerowie subalterni dowodzą po południu na zmianę. Tych dopilnowywać nie trzeba. Nie wyobrażam sobie (oni też), ażeby nie wykonali czegoś co im zostało rozkazane. Naszą wspólną radością w kompanii jest śpiew. Śpiewamy na głosy. Śpiewamy w czasie marszu na ćwiczenia, lub w czasie powrotu, śpiewamy w czasie przerw, śpiewamy wreszcie w rejonie naszego zakwaterowania.

Siedzę np. przed swoją kwaterą. Zbliża się wieczór, idzie sierż. Draus, a za nim kolejno cała wiara się zbiera. Wszystko zasiada koło mnie. Gadamy ze sobą. Wspominamy bojowe nasze przeżycia. Wałkujemy naszą przeszłość, dzisiejszy stan rzeczy, przyszłość, w końcu zaczynamy śpiewać. Jest dość zimno, wieczór zapadł czarny, skupieni w krąg koło siebie nucimy na głosy rzeźne melodie. Zbiera się wieśniaków i wieśniaczek chmara, radują się naszym szczęściem, smucą naszym smutkiem, śmieją z nuty wesołej, bo w nas jest młodość co narzuca nastroje, nastrojami się powoduje, otwierając serca szeroko dla siebie i dla drugih.

Jakże bardzo się już zbliżyliśmy do siebie, jakże mocno kocham tych chłopaków ze swojej jedenastki.

Czuję, że oni mnie szukają, potrzebują, ja za nimi tęsknię, a tęsknię doprawdy, bo gdy czasem jakiś urlop się trafi, wnet mnie do nich pędzi. Spieszę na front, spieszę do pułku, między nowy, własnymi rękami, wybudowany dom.

Tymczasem snują się dni za dniami. Ogólna niepewność sprawy, widoczne knowania niemiecko-austriackie, mające na celu wyprowadzenie Polski w pole, osamotnienie Brygady, wreszcie

niepewność losów naszych legionowych i decydowanie bez nas w rokowaniach brzeskich, powodują poważne dyskusje wśród oficerstwa i przygnięcie myślącego legionisty.

Wszyscy razem nastawiamy chętne ucho na wiadomości o Wojsku Polskim na wschodzie. Nazwisko gen. Dowbora-Muśnickiego wyrasta do miary Wodza, dysponującego kilkusetysięczną armią polską.

Mówi się o wspólnym wysiłku, o złączeniu Legionów z armią Muśnickiego. To są marzenia. Nic bowiem nie przemawia za tym, aby myśli te mogły przyjąć realne kształty.

Rada Regencyjna jest fikcją władzy i nie wykrzesze ze siebie twórczych i zdecydowanych postanowień. Złączenie wojska polskiego nie leży też w interesie Niemiec. Niemcy, albo tworzą wojsko polskie jako mięso dla francuskich armat, wojsko bez narodowych aspiracji, bez ducha, wojsko, które będzie w ich rękach narzędziem, którego łatwo się pozbyć, lub łatwo dla swoich wojskowych, czy politycznych potrzeb, wykorzystać lub w ogóle nie będą go tworzyć. Stworzą fikcję, tylko dlatego, że muszą i że takie są warunki polityczne. Tą fikcją będą mieć mało zorientowaną w sprawach Polski — zagranicę.

Myśl o tej niejasnej, dla nas, przyszłości jest naszą ciężką troską. Snuje się ona za nami jak cień, wypełnia wolne godziny od pracy, morduje nasze młode umysły, zbyt słabe i zbyt mało wyrobione, by ogarnąć całość splotu zagadnień politycznych, dostateczne jednak, aby stworzyć wycucie sytuacji, wzbudzić niewiarę do państw centralnych i polegać bardziej na sobie, niż na fikcji aparatu państwowego.

W najbliższych dniach przyjeżdża gen. Krzitek dowódca 7-ej armii na inspekcję Brygady. Będzie przeglądał bataliony. Mało on nas obchodzi, ale trzeba mu pokazać porządne wojsko. Niech

widzi różnicę między Legionami, a jego rozkładającą się, austriacką armią.

11 kompania ćwiczy i przygotowuje do inspekcji. Przerabiamy różne fazy walki, poprawiamy oporządzenie, czyścimy broń.

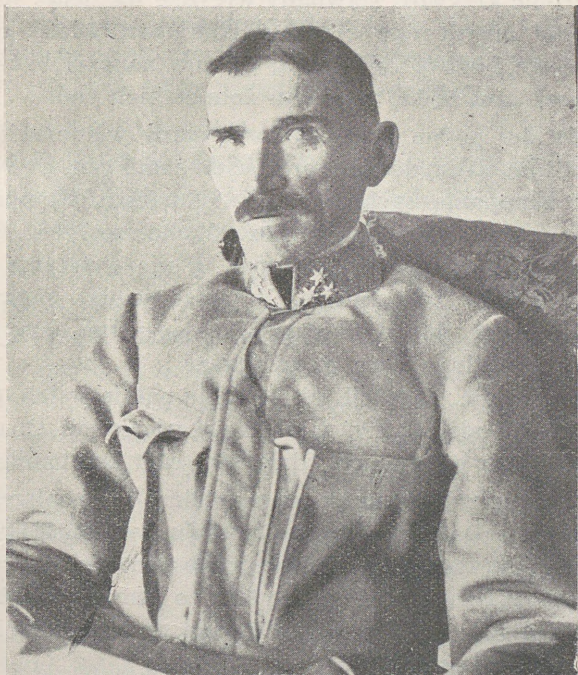
Inspekcja wypadła wspaniale. „Pan Generał broni“ — zadowolony.

11 kompania, wsparta dwoma karabinami maszynowymi, wykonała natarcie na nieprzyjaciela, usadowionego w terenie. Generał Krzitek udzielił kompanii pochwały za sprawne wykonanie natarcia i doskonały zewnętrzny wygląd. Jesteśmy wszyscy zadowoleni. Doznajemy uczucia wyższości. Konspirujemy nasze idee. W oczekiwaniu jaśniejszego jutra pracujemy, z jego nastaniem, chcemy być gotowi, możliwie dobrze przygotowani. Czy rozumie to Krzitek?

Nawet dobrze, że tego nie rozumie. Niechże więc traktuje nas, jako „materiał“ dobrze przygotowany, niech nadal pozostaje w nieświadomości, do czego ten „materiał“ zostanie użyty...

Przyjeżdża i staruszek nasz kochany, nasz dzielny i wytrwały, wyraz cnót żołnierskich, Zieliński generał. Udziela kompanii pochwały. Jest zdumiony i ucieszony jej sprawnością, stawia ją za wzór. Mnie dziękuje, jako dowódcy kompanii za owocną pracę. Salutuje. My prezentujemy broń. Odchodzi na bok i rozmawia półgłosem z dowódcą pułku. Ja wołam: „w kozły broń“. Chłopcy już wiedzą o co chodzi. Rozbiega się wiara, aby w tej samej chwili otoczyć zwartym kręgiem Generała. Chwycić go w ramiona i nieść ponad sobą. Jak my go kochamy, tego starego Wiarusa. Taki suchy, same kości. Rewolwer wisi poniżej pasa, co skrzywiony karykaturalnie z lewa na prawo, wykazuje brak zupełny bioder. Postać skromna, nieduża. Jakże, jednak, wyrasta ona, jak olbrzymieje kiedy bój rozegra się potężny, a kule bzykać zaczną wokół, przy akompaniamencie trzasku granatów i szrapneli, oraz grze-

chotu ciężkich karabinów maszynowych. Wszystko pochylone biegnie naprzód, za cenę krwi zdobywa piędź po piędzi, teren po terenie.



*General Zygmunt Zieliński
Pierwszy Dowódca 2 p. p. Leg. Pol.*

Po przez krwawy pył, po przez napięcie nerwowe widzi legun swego Generała jak z trzcinką w dłoni, krokiem jak na spacerze posuwa się naprzód. Kule coraz częstsze, coraz częstsze wołanie o pomoc, wzywanie sanitariusza.

W sposobie posuwania się Generała żadnej zmiany. Rozkazy zawsze spokojne, głosem co nie zadrżał nigdy — podane. Kochamy go bardzo, tego dobrego żołnierza i tylko w obawie żeby mu nie zrobić krzywdy, stawiamy wreszcie na ziemi. Klepie nas po ramieniu, innym rękę ściska. Dzieli z nami radość, jak dzielił trudy bojowe i sławę żołnierską. On nas nauczył być dobrymi żołnierzami, sam będąc wyrazem żołnierskich cnót

W kilka dni potem przysłała do Brygady wiadomość o traktacie brzeskim. Zdecydowano przejść do armii gen. Dowbór-Muśnickiego. Kompania szykuje się do odmarszu. Kompania wie o tym ode mnie. Jednego, najsłabszego, chcę zostawić. Obawiam się, że młody, szesnastoletni chłopak *), nie wytrzyma czekających nas trudów żołnierskich. Wkrótce jednak mam go już w swej kwaterze, dokąd przyszedł, mając pełne oczy łez. Rozmawiam z nim długo, chcę go przekonać.

Nie poradzi nic. Zagroził mi, że sobie palnie w łeb. On w takiej chwili nie odstąpi kompanii nawet na rozkaz. On nie mógłby żyć w takich warunkach. Idzie więc cała kompania.

Pobieramy żywność, amunicję. Czyścimy broń, piszemy listy. To są ostatnie godziny naszego postoju w Mamajowcach. Za chwilę ruszymy na wschód. Idziemy niby na większe ćwiczenia ale ludność się czegoś domyśla, są tacy co płaczą i krzyżem świętym nas żegnają. Dołączamy za chwilę do wspólnej kolumny. Idziemy w nową przyszłość.

Jest zupełna cisza, tylko tupot nóg świadczy o przemarszu tych kilkunastu setek istnień ludzkich, co, zapatrzone w wielki cel, idą szukać lepszej doli.

Cicho sunie kolumna. Burza serc skuta wolą tysięcy, nie przedostaje się na zewnątrz. Targane zwiątpieniami i nadzieją życia

*) Zdaje się, że był to legionista Skwarczyński.

ludzkie, kroczą wciąż naprzód z nieprzepartą chęcią, aby to. „Stań się“, możliwie prędko nastąpiło, aby możliwie prędko wiedzieć już prawdę, która za chwilę ma się stać.

W milczeniu idzie kolumna, jakby czuła, że w tej ciszy jest cała możliwość zaskoczenia, cała możliwość skoncentrowania wysiłku w miejscu, gdzie decydować przyjdzie.

Chcemy przejść i to stać się musi.

Przed Mahalą skręciliśmy na Rarańczę. Dochodziliśmy właśnie do koty 243 koło krzyża na szosie, gdy po kolumnie przebiegł cichy szep: „Austriacy na drodze“.

Maszerowałem wtedy na czele swej kompanii, która szła za 9-tą kompanią, jako czołową baonu trzeciego, będącego strażą przednią Brygady. Będąc przekonany, że to chorąży Graff idący na szpicy przysłał od siebie ten meldunek, wyskoczyłem na czoło 9-tej kompanii, aby się czegoś bliższego dowiedzieć. Widokiem, jaki się wówczas przed oczami moimi roztoczył, byłem zaskoczony. Oto na kilka kroków przed czołem 9-ej kompanii zobaczyłem tyraliery austriackie i dwa ciężkie karabiny maszynowe, leżące po obu stronach szosy. Na szosie zobaczyłem kilku oficerów austriackich i kilkunastu żołnierzy w postawie „gotuj broń“ za ich plecami.

Poza tym, w tej chwili nie widziałem nic. Owładnęła mną wówczas tylko jedna myśl, znaleźć się możliwie szybko, na czele moich chłopaków i z nimi ruszyć naprzód. Nie miałem jeszcze żadnego planu. Czułem tylko grożące niebezpieczeństwo. Bez namysłu skoczyłem w tył i w tejże chwili, krzyknawszy do jednostki „w rękę broń“ i „za mną“ skoczyłem ku przodowi. Kompania 9-ta pod wrażeniem nagłego zetknięcia, jakby oniemiała, cofała się kilka kroków w tył i dzieliła się, aby zapaść w przydrożne rowy. Poprzez tę lukę na szosie wyskoczyłem z kompanią

na czoło. W tej chwili usłyszałem „Halt“, w kilka sekund stałem już naprzeciw oficerów austriackich, jak i oni, z rewolwerem w ręku.

Z tyłu za mną czułem, gotowych do strzału moich oficerów: podporuczników: ś. p. Mierzwińskiego, Wójcika i Michaleckiego, oraz gotowe do pchnięcia bagnety mojej kompanii.

Jedenastka, cała, jak jeden mąż stała za plecami moimi, w zwartej kolumnie i jak brytan czekała na moje rozkazy, gotowa nawet bez nich rzucić się ku przodowi. W tej chwili jednak czekała na moje skinienie.

Obok mnie na prawo stał mjr Orlik Łukoski—dowódca baonu, gdzieś łącznie z nami, ppor. Dobrzański ¹⁾, dowódca 9-tej kompanii. Było zupełnie ciemno. Na białym tle szronu rysowały się wyraźnie figury stojących na szosie Austriaków i ciemne sylwety tyralierów austriackich, rozłożonych po obu stronach szosy.

Pomiędzy mną, a dowódcą baonu austriackiego wywiązała się następująca rozmowa. Pytałem więc: „Was für Halt“, na co otrzymałem odpowiedź: „Ich habe Befehl sie zu halten“. Ja na to już po polsku odpowiedziałem, że „Ja mam taki sam rozkaz ale maszerowania wprzód, zresztą kto ma prawo mi tu rozkazywać“, otrzymałem wówczas odpowiedź: „Ich Hauptmann (i tu nastąpiło nazwisko).

Ton odpowiedzi był taki, że bez namysłu spowodował moją odpowiedź: „Ich Oberleutnant Boruta“ i bezpośrednio potem strzeliłem mu ze Stayera w twarz. Zobaczyłem wówczas jak „Hauptmann“ podniósł ręce do góry z okrzykiem „OOO“... zwałił się na ziemię. W tej samej chwili strzelałem już w lewo do stojących obok i w tyle żołnierzy, w prawo ode mnie czyścił szosę d-ca baonu, mjr Orlik-Łukoski, również ze Stayera.

¹⁾ Relacja mjr. Dobrzańskiego.

Skutek strzałów stayerowskich był zastraszający. Tam gdzie stali żołnierze i oficerowie austriaccy, leżały już tylko trupy i ranni. Teraz czas na kompanię. Dałem rozkaz „w tyralieri“, reszta była wiadoma.

Jedenastka rozprysła się jak na ćwiczeniach. Czołowa czwórka tuż za mną. Oficerowie Michalecki, Wójcik, Mierzwiński rozlecieli się na wskos i w przód.

Z pierwszej czwórki Honkisz wali kogoś kolbą w łeb, Michalecki i Mierzwiński chcą strzelać z rewolwerów systemu Fromer, ale te podły Fromery właśnie w tej chwili się zacinają, wtem czyjś bagnet, bagnet któregoś z mojej jedenastki, błyska na chwilę, aby zagłębić się w tym, co Michaleckiemu grozi. Oj stary Wiarusie, widzisz jak przydała się nauka twego szkolenia popołudniowego! Mierzwińskiego ja znowu jakimś strzałem, ratuję z opresji²⁾. Wszystko krzyczy „hurra“. Słysząc jęki i krzyki, wszystko strzela bezładnie, słysząc wybuchy granatów ręcznych, rzucanych przez naszych chłopaków.

Austriacy ledwie zdołali dać krótką serię ze swoich ckm-ów, gdy już stały się naszym łupem, ogień tyralierów austriackich milknął równie szybko, jak powstał. Uderzenie nasze jest krótkie, szybkie jak piorun. Widzę migające postacie. Gdzieś z tyłu biegnie na prawo w przód ze swoją 12 kompanią Brandysik (por. Brandys), idziemy niepohamowanie w przód, wpadamy na drugą tyralierę (odwody) Austriaków, niespodziewających się Polaków. Przecież mieli przed sobą swoich. Żal nam mordować tych osłupiałych, zresztą Bogu ducha winnych, żołnierzy. Mścimy się za to na ich karabinach i niszczymy, łamiąc i rozbijając je w kawałki. Zamieszanie po stronie Austriaków, na tym odcinku jest

²⁾ O tym, że go wyratowałem w tej tak trudnej sytuacji nie wiedziałem, sam mi to mówił w Rokitnie, po przejściu na drugą stronę.

zupełne. Jakiś żołnierz austriacki staje naprzeciwko mnie i melduje: „Herr Oberleutenant — Meldunek“. Ja oddaję ten „Meldunek“ majorowi Orlikowi, który pod płaszczem, zaświeciwszy latarkę czyta: Do któregoś pułku w Rarańczy. „Starke polnische Kräfte sind schon 700 Schritte vor dem Dorfe“ podpis X³⁾.

Posuwamy się dalej, ja idę ciągle rowem prawym wzdłuż szosy. Nagle na trzy kroki przed sobą widzę dwóch Austriaków z karabinem na gotuj broń, przed sobą. Chcę strzelić i w tej chwili zauważam, że Stayer mój otwarty, czeka jakby na nakarmienie. Co robić? Pierwszy Austriak, którego widzę drżącą postać przede mną w rowie, gotów choćby ze strachu do mnie strzelić, strzeli na pewno, nawet wtedy, gdy mu krzyknę „Hände hoch“ strzeli, nie z powinności żołnierskiej, strzeli dlatego, że jest noc, że on cały drży, że naokół jest strzelanina i że ja zjawiłem się mu nagle przed oczyma, jak duch. W tej chwili nie wie jeszcze kto to jest co rowem idzie, ale jak krzyknę, gotów strzelać. To też nie namyślając się wiele padam, udaję zabitego i patrzę ciągle w Austriaka, szukając zgrabiałymi rękoma magazynku. Mam go wreszcie, mam, teraz manipuluję aby naładować mój Stayer. Moi chłopcy leżą za mną. Noc stała się zupełnie czarną. Leżący za mną szeregowiec Ochorka widzi mnie, ale nie widzi, co jest przede mną. Ja milczę, więc wszystko milczy i wszystko leży, czekając mego rozkazu.

Tymczasem ja ładuję, naciskam zgrabiałą ręką, ładunki zagięły się jakoś i nie chcą wejść do środka, robi mi się gorąco, a ręce jak lód. Ta sytuacja vis a vis z Austriakami gotowymi do strzału trwa. Austriaka pierwszego ciągle obserwuję, ciągle stoi bez ruchu. Wreszcie załadowałem, ale boję się łuski odrzucić, by trzask zapadającego zamka, nie spowodował austriackiego strzału, więc

³⁾ Meldunek ten miałem jeszcze pod Kaniowem, ale po bitwie zaginał.

podnoszę rewolwer i kieruję w stronę Austriaka. Lewą ręką wyciągam łódkę i równocześnie naciskam spust. Austriak wali się na ziemię, następny podnosi ręce do góry.

Dzisiaj gdy tyle czasu minęło od tej chwili, dziwnie wyraźnie pamiętam każdy szczegół tego przeżycia. Do dziś nie mogę zrozumieć zachowania się tego żołnierza i do dziś nie mogę sobie darować tego, że go zastrzelił. Co on myślał, gdy ja leżałem w rowie, dlaczego nie wyjaśnił, kto leży, co robi. Czyżby to był strach, co odjął mu siłę myśli i czynu?! Bądź co bądź cała ta moja manipulacja z rewolwerem musiała trwać przynajmniej minutę i jakieś szmery do uszu tego biedaka dochodzić musiały. Stało się. Cele nasze były wyższe, niż jedno życie ludzkie. Nie chciałem też i ja ginąć bez potrzeby i bez potrzeby narazić swe życie.

.

Poderwaliśmy się naprzód. Byliśmy już jakieś 300 m od Rarańczy, gdy od tyłu przyszedł rozkaz: zatrzymać się do dalszych rozkazów. Batalion nasz III/2. p. p. leżał okrakiem szosy. Por. Staich ze swoimi karabinami maszynowymi czuwał po obu stronach szosy. Wtem od Rarańczy zobaczyliśmy posuwającą się masę idącą w kolumnie ku nam. Nastąpiła śmiertelna cisza. Ochorka leżący za mną ciągnie mnie za but i głosem przyciszonym mówi: „Panie Poruczniku, Austriacy na nas idom“, ja mu mówię: „milcz — widzę“. Podpuszczam bardzo blisko, na kilkanaście kroków. Austriacy idą nieubezpieczeni, widocznie myślą, że na przedzie są ich tyraliery. Wołam: „Salwa! Cel! Pal!“ Nie wiem czy mi się dzisiaj zdaje, ale jestem pod wrażeniem, że takiej równej salwy, nie słyszałem w życiu. Po salwie słyszę już tylko grzechot maszynek Staicha, które pobożnie pracują, siejąc w kolumnie austriackiej zniszczenie. Zakłębiło się w tej masie ludzkiej,

zniotło ją do rowów przydrożnych i jękiem głuchym rozdarło ciszę nocy.

Przyszedł nowy rozkaz. Mamy wykonać zwrot w prawo i obejść Rarańczę od zachodu, południowym krańcem przedostać się do okopów.

Przed samymi okopami jesteśmy ja i por. Brandys wezwani do d-cy pułku. Otrzymujemy rozkaz ruszyć na okopy. Okopy pierwszej linii są pewnie obsadzone. Opór przełamać, umożliwić przejście Brygadzie. Z rewolwerami w rękach na czele swych kompanii idziemy do przednich okopów. Obok mnie idzie Brandysik, śmieje się do mnie. On taki mały, taki kochany chłop. Mówi do mnie: „Aleśmy im (Austriakom) dali piercu (pieprzu). No Boruta jeszcze jeden skok i będziemy ich mieli w . . . tych drani“. Chłopaki jego, te z dwunastki, walą za nim jak brytany. Już szarżyć poczyna. W labiryncie przekraczanych okopów jesteśmy jak u siebie w domu. Przecież tu kilka tygodni staliśmy, niektóre okopy robione, lub poprawiane naszymi rękami. Idziemy jak w dym ku znajomemu nam przejściu w okopach przedniej linii. Ono już przed nami. Jakiś wystraszony Austriak melduje się, sam nie wie co mówi. Okopy są puste, Austriacy, albo zwiali, albo wyszli na nasze spotkanie. Kilku zuchów (Austriak też) już rozszerza przejście, rozsuwa i rozrzuca kozły i za chwilę wiara przelewać się poczyna poprzez tę wąską szyję drutów koleczastych na szerokie przestrzenie międzypola. Za chwilę brzask. Rozrzucona na szerokim polu brać legionowa zbiera się i gdzieś po środku linii obu stron — zatrzymuje. Szarżeje ledwie, gdy ktoś z gromady, spoconej i szarej, gromady zrastającej się w jakąś całość niepodzielną, gromady, co bezwiednie za ręce się chwytą i jakieś drzenie radosne sobie sprzedaje, ktoś głosem czystym, trochę nieśmiało, intonuje „Rotę“. Pieśń tę podchwytuje nadpływająca brać legionowa, pieśń początkowo cicha — potężnieje.

Rozproszona wiara scala się w jedno. Coraz głośniejszy śpiew. To pobudka i hasło zbiórki, to radosny, wolny wolnego Polaka śpiew. To duch zwycięstwa szybuje ponad tą biedną, strudzoną masą ludzi, co ukradkiem łzę roni i jak uradowane dzieci, ściska się i całuje.

Teraz ta rozedrgana w piersiach pieśń grzmi rozgłośnie. Świtać już poczyną, a niejeden czuje zbliżające się niebezpieczeństwo. Przecież artyleria austriacka może zacząć pracć, każdy tu kwadrat ziemi obliczony, każdy strzał może być celny. A jednak przerwać tej pieśni nie może nikt, nikt, choćby jeszcze więcej trzeba krwią okupić tę chwilę. Co znaczy krew, co znaczy w takich chwilach życie. To też śpiewamy do końca. Za chwilę rozwijamy się i ruszamy dalej. Już dnieje. I oto pierwsze szrapnele trzaskają. Przed nami rzeka Rokitnianka, a na nią puste już okopy rosyjskie. Strzały artyleryjskie padają. Od nich krwawi 3 pułk. W rozwiniętym szyku przechodzimy okopy. Idziemy na Rokitnę.

A więc przeszliśmy.

.....

W służbie dla Kraju Wasza młodość upłynęła, leguny Moje, z mojej jedenastki. Gdzie jesteście obecnie i czy wszyscy powróciliście do Kraju, do żmudnej pracy pokoju?!

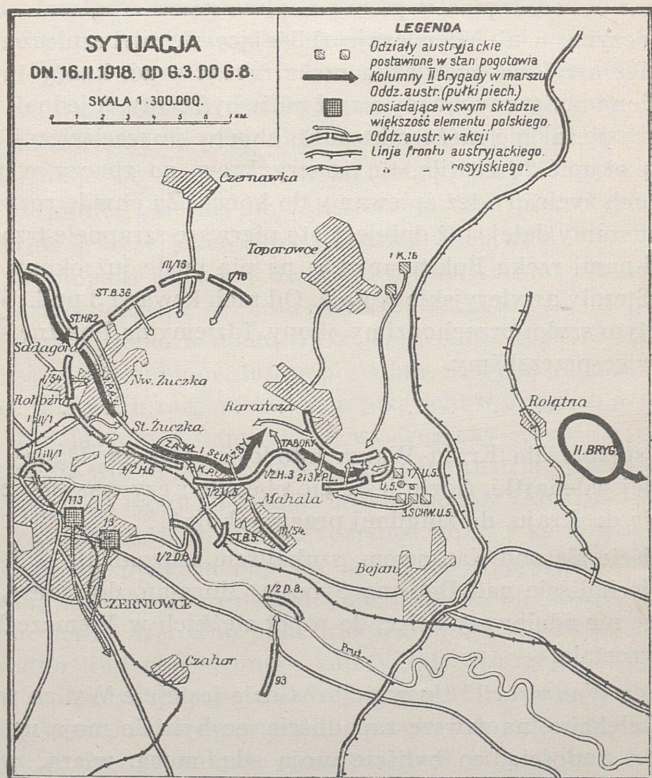
Biliście się pod Kaniowem, szukaliście schronienia w Bobrujsku, jechaliście nad Don, na Syberię, Murmań, do Odesy, część z Was, nie zdoławszy uciec, do robót ciężkich w Niemczech odsłana została.

Kto z Was wrócił? Ilu wróciło? Gdzie jesteście Wy, co w serce moje głęboko, na zawsze zapadliście, co byliście moją ucieczką, pieśnią, radością, co byliście moją siłą, mocą, wiarą, czynem.

Jesteście dzisiaj moim wspomnieniem, moją radosną przeszłością, siłą, skąd czerpię wiarę i miłość i to wielkie zaufanie, jakim

darzę żołnierza. I nigdy i nic nie zdoła zmniejszyć we mnie tego przekonania które wyrosło z Waszego ducha i krwi.

Mieczysław Boruta-Spiechowicz.



MÓJ UDZIAŁ W PRZEJŚCIU POD RARAŃCZĄ

O postanowieniu przebicia się 11 Brygady na Ukrainę i wydaniu w tym celu rozkazów, dowiedziałem się około południa dnia 15 lutego 1918 r. Przyjechał wtedy do Komendy Legionowego Korpusu (Polskiego Korpusu Posiłkowego) stojącego w Łużanach, dowódca 2 p. p. Leg. ppłk Żymierski i po krótkiej konferencji z referentem prasowym P. K. P. Lewartowskim, wyszedł ze mną do ogrodu przy kwaterze Sztabu i tam powiadomił mnie o mających nastąpić działaniach. Pamiętam prawie dosłownie: „dzisiaj o godzinie 6-tej po południu Brygada rusza; Zagórski idzie z nami; Sztab o 9-tej godzinie wyszeruje z Łużan. Generała powiadomi Lewartowski. Generał (Zieliński) albo pójdzie z nami, lub będzie nam przeciwny; w drugim wypadku niech sobie wyjedzie do szpitala lub na urlop; jak nie zechce musicie go wziąć ze sobą. Oficerów powiadom na odpowiednim zebraniu — resztę tu zrobi Górecki. Tabory brać jak najmniejsze, po jednym wozie na 5-ciu oficerów. O 11-tej w nocy macie być w Żuczce, o 1-ej w nocy w Rarańczy. Liczę na ciebie i Malinowskiego — do widzenia“. Ponadto wziął ode mnie dwa dokumenty podróży i odjechał.

Byłem wtedy referentem technicznym i gazowym w Dowództwie Korpusu i pracowałem jako 2-gi oficer Sztabu w oddziale operacyjnym sztabu. Generał Zieliński był wtedy nieobecny w Łużanach, gdyż z porucznikiem Malinowskim wyjechali na ćwiczenia w ostrym strzelaniu naszej artylerii gdzieś

pod Walawę. Wrócili około godziny 14-tej. Natychmiast powiadomiłem por. Malinowskiego, z którym w czasie wspólnej służby na froncie w 2. p. p. Leg. serdecznie się zaprzyjaźniłem, o decyzji przejścia Brygady na Ukrainę i zacząłem przygotowywać się do marszu. Więc napisałem list pożegnalny do rodziny, spakowałem swoje nieliczne rzeczy osobiste i poszedłem do kwatery Sztabu, gdzie z własnej inicjatywy objąłem dozór nad rozmowami z telefonu Szefa Sztabu, oraz zastrzegłem sobie dysponowanie taborem samochodowym.

Wymarsz kompanii sztabowej i taborów sztabu, zakładów intendenckich (piekarni itp.) z Łużan spowodował wielki hałas i nieporządek na szosie, z czego wyczułem, że grupa ta nie ma wielkich szans na złączenie się z Brygadą i na przejście przez front. W ostatniej chwili przed opuszczeniem Łużan przez tę grupę marszową zdobyłem dla siebie konia wierzchowego od komendanta kompanii sztabowej por. Ocetkiewicza — Malinowski dostał konia naszego naczelnego lekarza płk. dr. Rogalskiego, nagliłem Malinowskiego do szybkiego kłusa i we dwójkę wyprzedziliśmy tabor i kompanię sztabową, zdążając szosą ku Żuczce za Brygadą. Druga minęła nam bez wypadków, minęliśmy Mamajowce, Leńkowce; po drodze minęło nas jakieś auto austriackie, po czym za chwilę z tyłu za nami padło kilka strzałów; wzdłuż szosy widzieliśmy ślady pracy II Brygady — poniszczone przewody telegraficzne. Na stacji w Leńkowcach panował ożywiony ruch — most na Prucie pod Czerniowcami stał nienaruszony, choć podobno miał być przez naszych wysadzony.

Pod Starą Żuczką czekał nas niebezpieczny odcinek szosy, gdyż musieliśmy przejeżdżać obok kwatery dowództwa austriackiej 2-ej dywizji kawalerii. Kwatera sztabu jasno oświetlona, mijamy grupki ludzi, oficerów i cywilnych; skład

amunicji — tu stoi jakiś wartownik — droga jaskrawo oświetlona pochodnią acetylenową z reflektorem. Błyskawicznie przyszedł mi do głowy dobry pomysł. Udajemy austriaków; garbię się w siodle i głośno po niemiecku rozmawiając z Malinowskim mijamy niebezpieczne miejsce. Jedziemy stępem, gdyż nie wolno tu jeździć kłusem jak głośzą napisy na tablicach ostrzegawczych, ze względu na spokój pracy w sztabie i niezakłócanie spokoju nocnego generała komendanta dywizji.

A teraz znowu kłus, wjeżdżamy pod górę na drogę ku Rarańczy. Ktoś stoi tu w mroku rowu przydrożnego — ktoś émi papierosa w rowie. Wychodzi do nas z rowu kapitan Kruk-Schuster; dziś wrócił z domu z Kołomyji i tak jak wysiadł z pociągu ruszył na marsz, zdaje się, że jeszcze w mankietach i białych rękawiczkach. Czeką tu na artylerię, by jej wskazać drogę; przy nim mały oddział szturmowy. Był tu i Górecki, który niecierpliwił się, że tabor tak długo nie nadjeżdża; objaśniłem go, że tabor kilka kilometrów za nami i że w Leńkowcach czeka podoficer, który ma mu wskazać dalszą drogę. Jedziemy z Malinowskim dalej i wkrótce dopędzamy tabor bojowy Brygady. Z trudem przepychamy się wprzód bokami — przy drodze w rowach leżą zmęczone piechury. „Który pułk?“ — „3-ci“ — dalej, naprzód. „Gdzie Brygadier?“ — „Na przodzie!“ — przepychamy się wzdłuż kolumny wozów; Malinowski gdzieś mi się gubi i wyprzedza mnie. Tabor rusza; lekko skrzypią wozy; cisza. Wtem odezwał się gwałtowny ogień karabina maszynowego. Pociski świszczą ponad głowami i przenoszą. Co to? zasadzka? — a tu w koło mnie wozy, koń się denerwuje, zsiadam. Karabin maszynowy ciągle siecze. Ktoś woła: „karabiny maszynowe naprzód!“ — oddział k. m. rusza naprzód; za chwilę rozlega się turkot własnych karabinów maszynowych. Piekielny trzask, świst kul, są ranni — a za chwilę

krótkie zdecydowane „hurra!” — ogień słabnie; gdzieś z boku odzywa się nowy karabin maszynowy, znowu „hurra!” i spokój. My stoimy jeszcze na miejscu. Znowu rozpoczynam mą wędrówkę naprzód wzdłuż szeregu wozów; tabor bezpieczny, eskortuje go podporucznik Józwa z oddziałem szturmowym 3 p. p. Mijam tabor, osiągam ogon piechoty, ale już ta znika mi z oczu, rozsypuje się w tyraliery i przepada w mroku nocy. Z rowu przydrożnego wychodzą jakieś jęki — ranni, zabici — nasi i Austriacy. Z kierunku Rarańczy rowem przydrożnym idą jacyś ludzie — ręce wzniesione do góry — jest ich duża kupa. Jeńcy chorwaci — odebrano im broń, mają iść do Czeraniowiec, są strasznie przygnębieni; podobno powiedziano im, że będą mieli do czynienia z bandą uzbrojonych jeńców rosyjskich, a tymczasem w nocnym boju doświadczyli na sobie ducha i bagnetów legionowych. Nie trzeba ich pilnować, już przeciw nam za broń nie chwycą.

Tabor rusza, wjeżdża w opłotki Rarańczy, nie mogę się zorientować, ciemno, śnieg pada. Niektóre chaty oświetlone — siedzą w nich jacyś Austriacy. Tabor staje — piechota oderwała się i niewiadomo którędy poszła. Siadam pod jakąś górką na glinie pokrytej śniegiem. Konia przytrzymuje dawny mój pionier z 2 p. piechoty, owijam się płaszczem; odzywa się głód i senność. Wydobywam z kieszeni gotowane jaja, zdzieram skorupę, połykam zmarzłe na lód kawałki i za chwilę już drzemię. Budzę się, gdzieś padło kilka strzałów, wstaję, rozglądam się. Dokoła migoczą światła reflektorów — szukają nas? śnieg pada, mglisto, jakieś rakiety raz po raz oświetlają widnokrąg. Daremnie nadśledzuję w kierunku, w którym pewno poszli nasi — cisza. Wtem kilka ogłuszających huków; czyżby jakiś sygnał? Może salwa baterii? Artyleria miała być unieszkodliwiona przez nasze oddziały szturmowe! — i znowu cisza —

wreszcie tabor rusza, schodzi z drogi i naprzelaj omija wieś. Kierunek jest mi nieznany. Prowadzi kpt. Przepiliński. Długo czas maszerujemy na przelaj przez pola, gdy wtem dopada nas jakiś jeździec — „nie tędy“. Tabor się płacze — rwie — gubi — i staje. Nie trudno tu stracić głowę. W jakimś zagłębieniu stajemy — Przepiliński chce tu doczekać świtu. Jest tu jakiś oddział karabinów maszynowych — tego się będę trzymać. Za chwilę karabiny maszynowe ruszają naprzód; dziwi mię cisza, która panuje wokoło; jedynie rakiety wciąż błyszczą dokoła. Drogę naszą zagradza jakiś potok; koń mój nie chce go przejść, boi się, lód się pod nim łamie. Zsiadam, biorę go za wodze i próbuję przejść. Właśnie przeskakują potok juki z karabinami maszynowymi i skrzynkami amunicji; powłoka lodu coraz bardziej się załamuje, grzęznę w błocie, ciągnę za sobą mego konia. Wpadam po kolana w błoto, obok mnie przeciska się jakiś legun ciągnąc za sobą juka, siodło juka zahacza za strzemię mego siodła — muł w jedną, mój koń ciągnie w drugą stronę — puślisko pęka. Zirytowany rzucam wodze konia jakiemuś samotnemu żołnierzowi „prowadź“, sam skaczę przez potok i podążam za oddziałem karabinów maszynowych. Znowu jakaś górka, jakieś zagłębienie — postój. Jest tu ppor. Józwa — proponuje bym z nim maszerował — i wskazuje kierunek, w którym pójdzie. Czuję, że to kierunek fałszywy i zostaję sam. Józwa ze swoimi niknie w mrokach nocy. Za chwilę mijają mnie mały patrol, dowodzi ppor. Wójcik z 2 p. p. Mam ze sobą kilku ludzi, orientujemy się w kierunku, wybieramy go wspólnie, powodując się więcej intuicją, niż przedmiotami terenowymi i ruszamy. Mijamy jakieś doły; widać posuwamy się wzdłuż frontu, bo coraz przecinamy jakieś rowy dobiegowe i wydeptane równoległe do siebie ścieżki. Zapadamy w jakiś głębszy rów, gdy wtem z boku podsuwają się ku nam

jakieś postacie. „Panie Kapitanie — Austriacy“! Podbiegam z rewolwerem w rękę, rozkazuję im zejść do rowu. Wskakują wystraszeni. Mówią po polsku. Pytam: „co wy tu robicie?“ — My telefoniści z baterii, naprawiamy drut“. Pytam ich o obsadę na froncie. Jeden z nich: „poszło dużo z karabinami maszynowymi, z końmi. Przeszli koło nas, rzucili jakieś bomby, krzyknęli że to „Nachtübung“ i poszli dalej ku frontowi, pan leutnant się nastraszył, wszystko siedzi w dekunkach; linie telefoniczne porwane i teraz je naprawiamy“.



Z życia 2 p. p. Leg. Pol. na Bukowinie. Marsz.

„Gdzie bateria?“ — „tam“ — wskazują na jakąś ciemną plamę, kilkadziesiąt kroków na prawo — wskos przed nami, a ot tu „Reservestellung“ i wskazują na drugą plamę nieco z lewej strony, „a gdzie okopy?“ — wskazują w kierunku

w którym dążymy „tam“ — „jak daleko“ — ze dwa kilometry. Każę im siedzieć dalej w tym rowie i ostrzegam by do nas nie strzelali. Wyskakujemy z Wójcikiem i jego patrolem z rowu i pędzimy przed siebie... W samą porę natrafiliśmy na tych dwóch Austriaków, bo już mnie rozpacz brała i nieraz w ciągu nocy ścisnąłem pistolet, postanawiając w łeb sobie strzelić, gdyby mnie mieli Austriacy wziąć do niewoli. Teraz jednak wraca mi spokój i szybko posuwamy się wprzód w kierunku nieznanych okopów, dwóch wrogich frontów: austriackiego i rosyjskiego. Możliwe, że zastaniemy je obsadzone.

Powoli mrok rzednie, wstaje leniwy zimny świt, widać już trochę dalej, „ot tam pierwsza linia“ — wskazuje mi Wójcik jakąś ciemną smugę. Walimy się w rowy, wyskakujemy, znowu okopy, ściany strome, byłoby wykluczone przejechać tędy nocą konno. Lecz już jesteśmy w głównym rowie, jeden pas drutów, drugi — przed nami nagły spad terenu, po drugiej stronie wzgórza. Dnieje; na międzypolu widzę ciemną chmurę ludzi. Nasi! — to zbiera się po przejściu frontu nasza piechota.

W niedługą chwilę formują się kolumny marszowe i ruszamy w kierunku frontu rosyjskiego. Są wiadomości, że okopy rosyjskie opuszczone. Mijamy je. Za chwilę ostrzeliwuje nas austriacka artyleria, która się opamiętała i żegna nas salwą całej baterii.

Zygmunt Trzaska Durski.

W S P O M N I E N I E Z 15 LUTEGO 1918 ROKU

W czasie przejścia II Brygady Leg. Pol. pod Rarańczą otrzymałem rozkaz prowadzenia taboru 2 pułku. Wyruszyliśmy z Mamajowiec około godziny 8. wieczorem. Wozy obciążone do ostatnich granic, zabrało się bowiem wszystko, co się zabrać dało i co mogło się przydać po tamtej stronie frontu, a więc skrzynki z konserwami, skrzynki z amunicją, zapasy prowiantów, jakie tylko były w magazynach, sprzęt łączności, saperski, nawet umundorowanie. Konie ledwo ciągnęły ciężko obciążone wozy. Ale że ziemia była twarda, a noc pogodna, marsz odbywał się w tempie normalnym. Jechałem na pierwszym wozie. Przed wozem, w odległości 50 kroków postępował patrol z karabinami, po bokach kolumny taborowej i na jej końcu umieściłem również patrole.

Po drodze dowiedziałem się, że przed nami maszeruje tabor 3. pułku, a przy zbiegu drogi z Sadogóry z naszą drogą marszu zajechał mi drogę szpital koński II Brygady, który również wybrał się na „tamtą stronę“. W ten sposób byłem ze swoim taborem trzeci na linii marszu. Do Rarańczy dojechaliśmy bez żadnych przeszkód. Kilka razy w czasie drogi natknęliśmy się wprawdzie na jakichś wojskowych austriackich, którzy zapytywali nas dokąd maszerujemy. Odpowiadaliśmy, że mamy ćwiczenia nocne i na tym się kończyło. Pod Rarańczę dotarliśmy po północy. Tu musieliśmy się zatrzymać, gdyż tabor 3. pułku i szpital koński maszerujące przed nami, również się zatrzymały.

Tu też zobaczyliśmy pierwsze skutki starcia naszych pułków z oddziałami austriackimi, usiłującymi je zatrzymać. Po obu stronach drogi w rowach leżeli zabici, tu i tam jęczeli ranni Austriacy. Tu dowiedzieliśmy się także, że na czele naszej kolumny maszerowała kompania 2 pułku z porucznikiem Borutą-Spiechowiczem na czele, który pierwszy oddał strzał do zatrzymującego go oficera austriackiego, po czym cała kompania zasypała Austriaków salwami karabinowymi i granatami, przejechała się po nich jak burza, zostawiając z nich miazgę.

We wsi Rarańczy cisza i ciemność absolutna — ani żywej duszy.

Po kilkunastu minutach oczekiwania, zwróciłem się do będącego na przodzie, ś. p., podówczas kapitana Przepilińskiego, komendanta taboru 3. pułku z zapytaniem, dlaczego i jak długo mamy czekać. Odpowiedział mi, że czekamy na łącznika z pułków, który ma nas przeprowadzić do okopów, dalej bowiem trzeba było maszerować drogami polnymi, a noc była ciemna, choć oko wykol. Pułki były o jaką godzinę marszu przed nami, szukając najlepszego przejścia przez okopy.

Cóż było robić? Trzeba było czekać, bo droga była zatarsowana wozami i końmi, a jazda wozami na przełaj przez pola, wobec ciemnej nocy, była wykluczona.

Tych kilka godzin oczekiwania taborów w Rarańczy — to najbardziej męczący duszę i szarpiący nerwy okres z czasu całego przejścia dla mnie i dla wszystkich tych, którym wypadło maszerować z taborami. Niepewność co się dzieje z pułkami, jak daleko są, czy już przeszły, czy natrafią w okopach na opór Austriaków, czy nie zapomną o nas i nie zostawią nas na pastwę losu — oto co najbardziej dręczyło nas i dłużyło chwile oczekiwania, tym bardziej, że strzały już padły i o dalszym myśleniu oczu Austriakom ćwiczeniami nocnymi nie mogło być mowy. A tu

lada chwila mogła nadejść choćby jedna kompania i zagarnąć cały tabor, który był bez żadnej osłony, kilkunastu bowiem taborytów, przy czym nie wszyscy byli z karabinami, nie mogło stanowić dostatecznej osłony stu kilkudziesięciu wozów i koni.

Ale nikt się nie zjawiał, noc była ciemna, Rarańcza głucha, tylko daleko na przedpolu Rarańczy już to rozbłysła rakietą



W celi zbiorowej w więzieniu w Marmaros Sziget.

świetlna, już to odezwał się pojedynczy wystrzał karabinowy, od czasu do czasu odgłos wybuchu granatu ręcznego. To Austriacy „macali” rakietami maszerujące pośpiesznie pułki legionowe, przy czym przychodziło do wymiany pojedynczych strzałów.

Kiedy oczekiwanie nasze przedłużyło się do szarzejącego ledwie świtu, a łącznika z pułków nie było widać, kazałem zrzucić część

ciężaru z wozów dla ulżenia koniom i ruszyłem z taborem 2. pułku w boczną drogę polną, wprost na przełaj na okopy, myśląc sobie, że może się jednak uda dobrnąć do okopów, nim dzień nadejdzie, bo przecież szkoda było tych wszystkich skarbów, załadowanych na wozach, przede wszystkim zaś żywności i amunicji.

Ale zaledwie ujechaliśmy dwa, do trzech kilometrów po ciężkiej zmarzniętej grudzie — gdy rozbłysło z za horyzontu słońce i całe przedpole Rarańczy, pokryte wozami i końmi, maszerującymi na przełaj — każdy swoją drogą — rozjaśniło się brzaskiem wstającego pogodnego dnia. W tej chwili zagrały z otaczających kotlinę Rarańczy wzgórzy austriackie karabiny maszynowe, a artyleria austriacka posyłała raz wraz „kuferki“ wprost między wozy i konie.

Z tą chwilą los taborów był przypieczętowany. Wypadło nam w obozach internowanych, a potem w więzieniu Marmaros Sziget i przed austriackim sądem wojennym bronić idei niepodległego Państwa Polskiego i niepodległości Wojska Polskiego.

Okazało się potem, że nie zapomniali o nas pułki, że nawet wysłano oddział z oficerem na czele dla przeprowadzenia taborów, że jednak oddział ten, wobec bardzo ciemnej nocy, nie znalazł nas, a wreszcie sam wpadł w ręce Austriaków i dostał się do niewoli.

O dezorientacji i strachu Austriaków niech świadczy to, że do bezbronnych niemal taborów, do wozów i koni, do poszczególnych żołnierzy strzelali z karabinów maszynowych i artylerii przez jakie dwie godziny bez przerwy, aż wreszcie, kiedy porozbijali wszystkie prawie wozy, pozabijali lub poranili konie (ludziom nie wiele krzywdy zrobili, bo okopów i dołów na polu było pełno),

zeszły tyraliery z gotowymi do strzału karabinami, z najeżonymi bagnetami, z granatami ręcznymi za pasem, pod dowództwem oficerów, wyłapywać poszczególnych legionistów. Oficerów odprowadzali osobno, szeregowych osobno.

Na drugi dzień, 16 lutego, zebrali nas oficerów w liczbie kilkudziesięciu i szeregowych w liczbie kilkuset (artyleria, tabory, zakłady i sztab Polskiego Korpusu Posiłkowego) w szkole w Sadogórze. Tu chwytałyśmy jedni od drugich gorączkowe wieści o tych, co przeszli, i o dalszych losach nas, którym nie sądzone było znaleźć się razem z kolegami po tamtej stronie frontu, jako wolne i niezależne Wojsko Polskie.

Co do naszych dalszych losów, jak nas objaśnili koledzy prawnicy, których kilku wśród nas było, a jeden z legionowego sądu polowego, nawet z wojskowym kodeksem karnym — groził nam sąd doraźny w ciągu 72 godzin, a w najlepszym razie sąd polowy z zagrożeniem kary śmierci przez powieszenie (zdrada, bunt, spisek z bronią w ręku i kradzież mienia skarbowego).

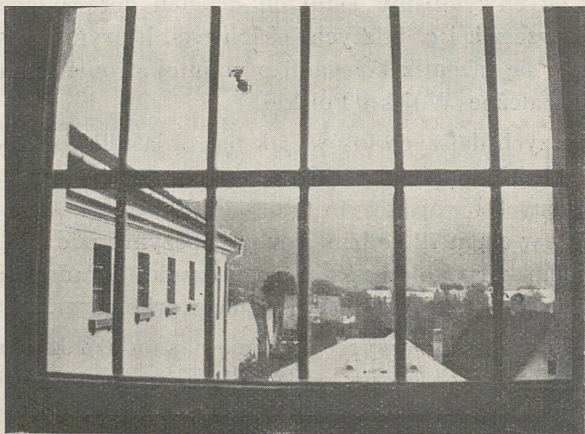
Po południu tego dnia wyprowadzono nas na dziedziniec, uszykowano w czwórki, oficerów oddzielnie, szeregowych oddzielnie i poprowadzono w stronę Mamajowiec. Eskortował nas szwadron ułanów na koniach z dobytymi szablami, otaczając nas dookoła. Przypomniały mi się wtedy obrazy, przedstawiające eskortowanie przez kozaków skazańców na Sybir.

W każdym razie uczucie człowieka, który nigdy jeszcze nie był pozbawiony wolności, a nagle stracił tę wolność, jest pod nadzorem zbrojnym, nie ma swobody ruchów i nie wie w dodatku co się z nim stanie — jest nad wyraz przykre, jeżeli nie głupie.

Było po południu, mróz brał, śnieg skrzypiał pod nogami, słońce zniżało się nad horyzontem, kładąc krwawe blaski na

roziskrzony na polach śnieg. Szliśmy czwórkami, rozmawiając półgłosem o ostatnich przejściach i o najbliższych naszych losach.

Pod wieczór doszliśmy do Mamajowiec, wczorajszego jeszcze miejsca postoju naszych pułków. Ileż wspomnień cisnęło się nam wtedy do duszy... jakżeż inaczej wyglądaliśmy w tych



Widok z okna więzienia w Marmaros Sziget.

samych Mamajowcach wczoraj, a jak inaczej wyglądamy dziś... wczoraj wolni żołnierze, a dziś jeńcy, więźniowie pod zarzutem zdrady, buntu i spisku z bronią w ręku...

Ale zato ci, którzy przeszli, są teraz naprawdę wolnymi i niepodległymi żołnierzami Niepodległej Polski. Ta świadomość osładzała nam ciężki los.

Zatrzymaliśmy się przy gościńcu w środku wsi na odpoczynek. Wieczór zapadał, mróz brał coraz silniejszy, to też w mig poszły płoty i parkany na ogniska, które zapłonęły gęsto na polu obok gościńca, przy których grzaliśmy się grupkami, rozprawiając żywo. A że legun nie lubi zbyt długo poddawać się depresji i zwątpieniu, wnet wybuchły tu i tam śmiechy wesołe, tu i tam opowiadano kawały, tu i tam piosnka nawet zabrzmiała bez troska. Kto miał jeszcze jaką konserwę, lub czarną kawę — grzał ją przy ogniu, częstując kolegów i przyjaciół.

Eskorta nasza jakoś nie reagowała na te nasze wybryki, dowódca eskorty przechadzał się niecierpliwie po gościńcu, snąc czekał na oddanie nas komu innemu, a wołał to uczynić jak najprędzej, aby zbyć się odpowiedzialności, bo to... „mit diesen Legionären“ nigdy nie wiadomo, co może wypaść.

Dopiero gdzieś około godz. 10. wieczór, a może później, zebrało nas znowu na gościńcu, ustawiono w czwórki, osobno oficerów, osobno szeregowych, nadszedł oddział piechoty w hełmach z oficerem na czele i zaczęło się odbieranie nas od poprzedniej eskorty. Przeliczono nas i sprawdzono imiennie i ilościowo kilkakrotnie, a ów oficer piechoty prawie że obmacywał każdego z nas, aby się przekonać, czy jest i czy kogo nie brak.

Po sprawdzeniu i przeliczeniu, otoczył nas podwójny kordon piechoty, oficer stanął z dobytym rewolwerem na czele, zapowiedział, że nie wolno absolutnie rozmawiać i zagroził, że przy najmniejszej próbie porozumiewania się, czy jakichś podejrzanych ruchach każe bez pardonu strzelać do nas. Kolumna skręciła z gościńca w lewo w opłotki wsi. Wieś już spała, okna chat były ciemne i cisza panowała dokoła, tylko śnieg skrzypiał pod nogami, tylko dzwonił ekwipunek prowadzącej nas eskorty.

W marszu widzieliśmy tylko plecy maszerujących obok nas i przed nami żołnierzy austriackich i oto zobaczyliśmy, że każdy z nich dźwiga na plecach to łopatę, to kilof, to siekiere, to piłę. Okazało się, że eskortuje nas kompania saperów.

Dlaczego saperzy i pociąg te łopaty zwłaszcza? Wyobraźnia pracuje gorączkowo, podniecona ciemną nocą, ciszą i szalonym rygiorem, wprowadzonym przez oficera prowadzącego konwój. Nie wiem, czy człowiek ten tak się nas bał, czy też otrzymał takie surowe rozkazy, dość że przy łada szepcie naszym zatrzymywał kolumnę, wymyślał nam, krzyczał i groził strzelaniem, poza tym co kilkadziesiąt kroków zatrzymywał nas i przy świetle latarki elektrycznej sprawdzał ilość czwórek i liczył czy wszyscy jesteśmy.

To też maszerowaliśmy wśród bezwzględnej ciszy, gdzie słychać było niespokojne bicie własnego serca, a wyobraźnia pracowała nad wyjaśnieniem, dokąd nas prowadzą po nocy, w takiej ciszy i rygorze i dlaczego saperzy nas eskortują.

Wreszcie kończą się opłotki wsi i wychodzimy na błonie nad Prutem, gdzie kolumna zatrzymuje się. Następują ciche szepty, po co nas tu na błonie przyprowadzono i co będzie z nami. Oficer austriacki, wciąż z dobytym rewolwerem, za każdym szepcemy krzyczy i grozi strzelaniem.

W pewnym momencie zabłyśło w oddali na błoniach światło i zawarczał motor samochodu. Idzie cichutko szept, że to sąd doraźny zajechał. Serce uderza głośniejsze, a myśl kojarzy poszczególne momenty naszej wędrówki i zdarzeń poszczególnych w jedną całość. A więc jest tak, jak nas objaśniali prawnicy nasi w Sadogórze; sąd doraźny zajechał, noc ciemna, prawie północ, błonie nad Prutem, rozprawa krótka, wyrok jeszcze krótszy „bunt i zdrada — rozstrzelać!“. Saperzy na miejscu wykopią każdemu dołek, wyrzucą, zagrzebią i... po wszystkim.

Więc ominęła nas kula nieprzyjaciela na polu walki w ciągu tyłu miesiący, a nie ominie nas haniebna kula, przeznaczona dla zdrajców i buntowników... A no stało się! Trzeba będzie oddać życie bez walki u progu Niepodległości.

To przeżył każdy z nas w ciągu tych kilkunastu, czy kilkudziesięciu minut oczekiwania na błoni nad Prutem w Mamajowcach w nocy, z 16 na 17 luty 1918 r. — Nareszcie zbliżyła się jakaś postać wojskowa do prowadzącego nas oficera, poszepała z nim i za chwilę poprowadzono nas z powrotem do wsi na... kwatery. Westchnienie ulgi wyrwało się z piersi każdego z nas. Okazało się, że rzeczywiście zajechał na błonie prokurator wojskowy i sędzia, przesłuchali na poczekaniu ówczesnego kpt. Góreckiego, mjr. Zagórskiego i ks. Panasia i wywieźli ich do więzienia do Kołomyi, z wnioskiem na postępowanie doraźne w stosunku do nich.

Na drugi dzień wywieziono nas na Węgry na 8-miesięczną tułaczkę i poniewierkę po obozach węgierskich i więzieniu Mararos Szigetu.

Michał Wierzbicki.

KARTKI Z PAMIĘTNIKA

Dnia 15.II.1918 r. o godz. 18.15 zbiórka 2 p. p. Leg. Pol. w Alt Mamajesti i wymarsz w kierunku Rarańczy, początkowo drogami polnymi, a następnie gościńcem przez Żuczkę, Sado-górę, Rarańczę do Rokitnej.

Batalion III.2 p. p. Leg. Pol., który stanowił szpicę, stanowi lewe skrzydło, batalion I wkrótce po minięciu mostu przed Rarańczą wchodzi w kontakt z austriackimi wojskami (pułki kroackie); rozpoczyna się walka, w której znaczna ilość Austriaków dostaje się do nas do niewoli. Batalion I, a ściślej mówiąc kompania karabinów maszynowych, przy której znajduję się ze swym przybocznym patrolem (plut. Pikuła Michał, kpr. Witkowski i ktoś trzeci) wchodzi z drogi na prawo, więc na lewe skrzydło. Na lewym skrzydle toczy się zacięta walka; wiadome jest nam, że na cerkwi w Rarańczy są umieszczone austriackie karabiny maszynowe, których pociski dochodzą również do nas, odnoszę jednak wrażenie, że kierowane są głównie na III batalion.

Około pół godziny później zdajemy sobie sprawę z tego, że jesteśmy ze wszystkich stron otoczeni. Przed nami i na prawo wystrzelają Austriacy pełno rakiet, z tyłu za nami i na lewo toczy się walka przy naszych taborach i zdaje się między III batalionem i II, a Austriakami. Marsz naprzód jest bardzo uciążliwy, gdyż teren jest falisty, bardzo nierówny, ustawicznie padają obok lub między nas austriackie rakiety, żołnierze

ustawicznie wykonują rozkazy „padnij“, „powstań“, a ponieważ jest dość ciemna noc, przewracają się przy przeskakiwaniu rowów strzeleckich nie mogąc rozpoznać nasypu. W świetle rakiet poznajemy, że rowy strzeleckie są świeżo przygotowane na nasze przyjęcie, widoczne są bowiem stare nasypy, zwrócone w stronę rosyjską i świeże, przygotowane na spotkanie się z nami.

W ciemności ztraca się łączność z komp. k. m., przyłączamy się do jakiejś innej (zdaje się 3 komp. 1 baonu), która idzie naprzód i co jakiś czas wysyła na flanki żołnierzy z granatami ręcznymi wszędzie tam, gdzie przesiadują Austriacy. Posuwając się ciągle naprzód, nie napotykamy żadnego oporu, obserwujemy w pobliżu przedpola tuż obok odrutowanych bram, wiodących do linii rosyjskich, Austriaków, jak po wystrzeleniu ostatnich rakiet uciekają.

W ten sposób o godz. 7.15 dnia 16.II znajdujemy się nad potokiem przedzielającym dawne pozycje austriackie i rosyjskie. Jest nas około 15, między nami ppor. Kuta, rozmawiamy z żołnierzem rosyjskim, który wyszedł naprzeciw nas bez karabinu i zapewnia, że na drugim brzegu nie ma ani Austriaków, ani wojsk rosyjskich.

Po wypaleniu papierosów przechodzimy potok po wystających z dna płytach kamiennych, wchodzimy na wzgórze, gdzie znajdują się okopy rosyjskie i obserwujemy, jak do nas dołączają się gromadkami żołnierze. Ciągłe jest jeszcze mgliście, widać jednak z okopów rosyjskich jak na prawo pod lasem przesuwały się nasze oddziały (zdaje się 3 p. p. Leg.). Po chwili idziemy naprzód oglądając się wstecz; zdaje mi się zarządzono w jakiś pół godziny później zbiórkę i w tym momencie zaczynają Austriacy ostrzeliwanie nas z armat. Rozsypujemy się natych-

miast, pociski austriackie nie dochodzą, względnie trafiają z boków; w niedługim czasie ustaje czynność artylerii, dochodzą nas jednak odgłosy walki toczonej w Rarańczy.

O godzinie 14 dnia 16.II dochodzimy do kwatery w Dynowcach. Postój ubezpieczony, opatruję wiele odparzeń stóp i barków od niesionych na plecach karabinów maszynowych. Dnia 17.II o godz. 7.30 wymarsz z Dynowiec do Orliczan obok Chocimia. O godz. 12 jesteśmy w Orliczanach, tam kwaterujemy.

Dnia 18.II o godz. 22.15 alarm i zapowiedziany marsz przez most na Dniestrze pod Chocimem. Pada dość gęsty śnieg, ludzie ślizgają się na gołoledzi. Oficerowie wiedzą o tym, że most na Dniestrze jest podminowany; podobno bolszewicy mają go wysadzić w powietrze i w ten sposób odciąć nam przejście na drugą stronę Dniestru.

Przewodnik Polak prowadzi nas najpierw drogami polnymi, a następnie drogą wiodącą nad Dniestrem. Odczuwamy tu dotkliwie zimno, a co najgorsze pada rozkaz „stać“. Stoimy przeszło pół godziny i widzimy, że przechodzą z powrotem płk Haller i ppłk Żymierski z adiutantem, przewodnikiem i żołnierzem rosyjskim, a za nimi kolumna. Okazuje się, że przewodnik poprowadził nas na odległość pół kilometra od pozycji austriackich, a dobrą drogę wskazał żołnierz rosyjski, który wracał — zdaje się — z zabawy od Austriaków.

Zawracamy więc wszyscy, około godz. 7 przechodzimy w „Atakach“ przez most na Dniestrze i wchodzimy do Żwańca. Gdy byliśmy w połowie mostu, zauważyliśmy na drugim brzegu zieloną rakietę. Jedni mówili wówczas, że wylatujemy z mostem w powietrze, drudzy zaś twierdzili, że to korzystna dla nas sygnalizacja. W każdym razie zielona rakietą nie wpłynęła zupełnie na zmianę tempa marszu.

W Żwańcu postój 1-godzinny i dnia 19.II o godz. 12 dochodzimy do Paniowiec. W Paniowcach spotykamy w chatach chłopskich na każdym kroku ślady rabunku dworów polskich, znajdujemy ozdobne okładki z książek francuskich i polskich, wycinki z tapet pochodzących z dworu, wazony z kaktusami itp. Spotykamy również żołnierzy rosyjskich, wracających zarbowanymi furmankami do swych domów. Chcą od nas kupić broń i amunicję, co im się nie udaje, ci zaś, którzy mają blisko już swe osiedla, proponują nam kupno koni wcale dobrych po 25 rubli za sztukę. Dowiadujemy się tu, że bolszewicy uciekli przed nami do Kamieńca Podolskiego, skąd też mieli wysyłać do naszego sztabu delegację, celem pertraktacyj. Przybył tu również sztabkapitan z małym oddziałem wojsk polskich; od niego wiemy, że w Żytomierzu mają się znajdować większe oddziały kawalerii polskiej.

Dnia 21.II o godz. 9 wyruszamy z Paniowiec Górnych; droga prowadzi przez wspaniałe wzgórza i wąwozy; o godz. 15 dochodzimy do Wróblowiec, gdzie po raz pierwszy zaznajamiam się z „samogonem“ u gospodarza — Ukraińca bardzo gościnnego.

Dnia 23.II o godz. 8.30 wymarsz z Wróblowiec; przechodzimy przez żydowską miejscinę Kitajgorod, gdzie zatrzymujemy się na półgodzinny odpoczynek i o godz. 14.30 dochodzimy do Niefidorowiec.

Dnia 25.II wymarsz przez Żwańczyk do Sokolca (miasteczko). W Żwańczyku udało się nam powiększyć nasze zapasy lekarstw w szpitalu ziemskim. Ponieważ jest bardzo kruczo z gotówką, puszczaemy w obieg rozmaite losy austriackie i przy pomocy nowej waluty zaopatrujemy się w niezbędne artykuły żywnościowe. Chwalimy sobie na ogół tutejsze obyczaje kur, które nie mają prawie nigdzie kurników i śpią w sadach na

drzewach. Na dworze odwilż, drogi rozmokłe, we wsi pełno błota. Wobec podniszczonego naszego obuwia przewidziany jest kilkudniowy postój.

Dnia 28.II. o godz. 5 wymarsz do Buczaja, skąd o godz. 6 posuwamy się bardzo wyboistymi i błotnistymi drogami leśnymi, a następnie szosą do miasteczka Wierzbowca, gdzie przybywamy o godz. 17-ej. Dowiadujemy się tu, że płk Żymirski (szef sztabu gen. Hallera) wyjechał gdzieś samochodem,



Z życia 2 p. p. Leg. Pol. na Bukowinie w 1918 r. Ubezpieczenie marszowe.

że do 3 p. p. Leg. przybył lotnik rosyjski, dochodzą nas też plotki o 13 i 56 p. p. austr., które rzekomo miały wypowiedzieć posłuszeństwo i przedrzeć się do Rumunii. W Wierzbowcu dostajemy w szpitalu cywilnym nieco lekarstw.

Dnia 1.III. o godz. 4 pobudka, o godz. 5,30 maszerujemy szosą bitą, następnie szerszą drogą polową przez Kuryłowce, Żerebyliwki i przybywamy o godz. 17 do Kukawki Większej. Do tej pory nigdzie nie widzieliśmy ani jednego dworku polskiego, któryby ocalał przed bolszewikami. Wszystko w barbarzyński

sposób zniszczone — pozostały tylko mury bez futryn, drzwi i okien, porozbijane były wszędzie wszelkie ozdoby, jak postumenty, tuje czy inne drzewka na klombach.

Dnia 2.III. o godz. 8 wymarsz, o godz. 17 przybywamy do Skrzyniec.

Dnia 3.III. o godz. 7.30 odchodzi 1 baon 2 p. p. Leg. Pol. do Mohylewa, skąd ma zabrać tabor z prowiantem i obuwiem. W drodze dojeżdża do nas ordynans wojsk ukraińskich (?) które zapraszają nas na obiad w Mohylewie. Przybywamy tam o godz. 12 i udajemy się partiami do hotelu Podolskiego, gdzie Ukraińcy goszczą nas wszystkich przyzwoitym obiadem.

W godzinę później otrzymujemy wiadomość, że do Mohylewa weszli Austriacy, którzy promem przedostali się na drugi brzeg Dniestru. Na potwierdzenie tych wiadomości przyprawiają nasi jeńców austriackich. Komendant patrolu austr. sierżant (Czech) informuje kpt. Lawicza — dowódcę naszego batalionu, że na naszym brzegu znajduje się jeden batalion szturmowy austriacki z 8 karabinami maszynowymi. Kpt. Lawicz pertraktuje z dowódcą austriackiego batalionu, wprowadza go w błąd opowiadaniem o naszych fikcyjnych karabinach maszynowych, umieszczonych na wzgórzach, w rezultacie mamy zagwarantowany pobyt w Mohylewie do godz. 17; potem mają zająć miasto Austriacy, których zadaniem ma być ochrona dróg kolejowych przed uszkodzeniami przez bolszewików.

O godz. 17 wymarsz 1 batalionu z Mohylewa, który trwa do godz. 11 w nocy — dochodzimy do Bandyszówki. Komp. 1 naszego batalionu w siłę około 30 ludzi, która była wysłana z granatami ręcznymi przeciw szturmówce austriackiej dla zabezpieczenia naszego odwrotu z Mohylewa Wołyńskiego, dołączyła się do nas w Bandyszówce dnia 4.III. o godz. 7 rano w chwili naszego wymarszu. Za Bandyszówką łączymy się

z resztą 2 p. p. Leg. Pol., 3 p. p. Leg. Pol. i oddziałem kawalerii korpusu wschodniego gen. Stankiewicza. O godz. 7,30 wiecz. przemaszerowaliśmy do Hazbiwki; kwaterujemy u ludzi gościnnych, wrogo usposobionych do bolszewików.

Dnia 5.III otrzymujemy pierwszy raz w naturze (oficerowie i szeregowi) cukier i inny prowiant.

Dnia 6.III o godz. 6.30 wymarsz przez Jampol do Cekinówki, miasteczka położonego nad Dniestrem. Widzimy stąd jasno oświetlone miasto Soroki na drugim brzegu Dniestru. Kwatera u Rosjanina, ożenionego z Polką. Na kwaterze wspólnej jest ppor. Parkasiewicz, por. Pastuszenko i ppor. Steblecki. Mieszkańcy twierdzą, że w ich wsi długi czas nie kwaterowało żadne wojsko, gdyż Rumuni, którzy zajmują Soroki, grozili zawsze ostrzeliwaniem Cekinówki.

Dnia 7.III i 8.III przewożą nasi promami przez Dniestr amunicję, karabiny, prowiant i tabor ze Sorok do Cekinówki.

Dnia 9.III o godz. 10 wymarsz do Kytrosów, gdzie przybywamy o godz. 4,30 po poł., kwaterujemy u gościnnych Rosjan, którzy niedość, że nas karmią przez dzień, dają jeszcze na drogę jaja i kurę pieczoną.

Dnia 10.III o godz. 12 odmarsz do Olszanki (odległość 5 wiorst) — trafiamy tam na kwaterę, gdzie obchodzą chrzciny i zaproszeni jesteśmy na studzieninę, smażoną wieprzowinę, makaron z jajami i niezłą wódkę (z sokiem malinowym).

W drodze do Olszanki spotykamy kilku żołnierzy austriackich, wracających do kraju, którym dajemy po raz pierwszy listy do rodziny. Dowiadujemy się, że nad pobliskimi liniami kolejowymi czuwają Niemcy, którzy dnia 9.III wysłali patrol wywiadowczy do Olszanki.

Dnia 11.III o godz. 10 rano wymarsz do Horieczkówki, w pobliżu nas kwateruje brygada, 3 p. p. Leg. Pol., artyleria i kawaleria 2 korp.

Dnia 13.III o godz. 8 wymarsz, przechodzimy przez tor kolejowy wiodący z Odessy, widzimy opancerzone lokomotywy, a na nich Austriaków, uzbrojonych w karabiny maszynowe. Niedaleko przed przejściem toru kolejowego dołączają się do nas kawaleria i artyleria, przyjeżdża również gen. Stankiewicz, który odbywa przegląd i defiladę, co trwa blisko 2 godziny na wicherze, śniegu i deszczu. Nieprzyjemne wrażenie odnosi wielu z nas w czasie powitania, bo słyszymy przy każdej kompanii te same słowa powitania generała, wymawiane bezdźwięcznie wymową rosyjską. Na odprawie oficerskiej ogłaszają nasze nominacje (oficerów i szeregowych). Zostaję podporucznikiem.

Pierwszy raz dostajemy „Wiek Nowy“, gdzie czytamy o adresach oficerów i szeregowych, internowanych przez Austriaków. Po defiladzie maszerujemy dalej i o godz. 7 wiecz. przychodzimy do Pawłówki.

Dnia 14.III o godz. 1 wymarsz. Już od 10 dni powodzi się nam dobrze, jeśli chodzi o wyżywienie. Jakoś trafiamy na ludzi gościnnych, którzy od nas nie biorą pieniędzy, a przyjmują pierogami, mięsem różnym i naturalnie samogonem. O g. 5 po poł. przychodzimy do Zabokrzyczki, dalszy odmarsz ma nastąpić jutro. Jednakowoż dopiero dnia 16.III o godz. 10 wymarsz do Jałająca. Przychodzimy tam o godz. 6 wiecz. Trafiamy na złośliwą babę, barany w chacie, pełno słomy na podłodze, gospodyni nie chce nam pozwolić na gotowanie krup jaglanych, bo zauważyła, że w chruście znajduje się drzewo bzu, które palone ma wywoływać u gospodyni czyraki. Mąż baby patrzy na nas z podełba, wychodzi często i poszeptuje z chłopami innymi po

kątach. Trudno jest o tytoń, chleb itp. Pocieszamy się tym, że 18.III ma się zacząć u chłopów post, będzie więc łatwiej można dostać mleka i nabiału.

Dnia 21.III o godz. 9 wymarsz, o godz. 5 wieczór przychodzimy do Ługowoje. W Ługowoje krążą wersje, że chłopci przed naszym przybyciem odbyli naradę, na której postanowili nie wpuścić nas do wsi. Chłopci ci mieli się dowiedzieć, że nasz 2 batalion miał spalić jedną wieś za to, że w niej kilku naszych żołnierzy zamordowano podstępnie. Mimo to w Ługowoje goszczą nas na kwaterze wcale dobrze i nie przyjmują pieniędzy. Odnoszą się przychylnie.

Dnia 24.III dowiadujemy się, że przybył do nas por. Muszyński z jakimś zleceniem od Rady Regencyjnej.

Dnia 26.III wieczorem przyjechał do nas kapitan Matczyński Wiktor, przebrany za chłopca i przywiózł na dwukółce spory zapas lekarstw, karabinów i granatów ręcznych.

Dnia 28.III o godz. 7 zbiórka i wymarsz do Dyakówki, gdzie przybywamy o godz. 3 po poł.

Dnia 29.III o godz. 12 podobno wskutek epidemii tyfusu odmarsz przez Tiernawkę do Jurkówki (Lubaszówki). Choć w naszej chacie sześćcioro dzieci, kobieta robi dla nas makaron ze słoniną. Na dworze silny mróz, pada śnieg i wieje gwałtowny wicher.

Dnia 30.III (Wielka Sobota) — wymarsz o godzinie 1 po poł. do wsi Synyca, odległej o 10 minut od Humania.

Kwatery dość marne, mieszczę się z sanitariuszem w domu, gdzie prócz kur, wałęsających się po izbie, są nasadzone na jajach pod stołem trzy gęsi. Śpimy — jak to zwykle — na podłodze, w nocy gęś widocznie ruszona przez sen ręką, zbiła mnie dziobem po głowie. Leczę kobiecie wyprysk na sutce, więc stara się o nas.

Dnia 3.IV kilku nas: dr Matczyński, Parkasiewicz, Steblecki wyjeżdża do Humania po sprawunki. W jednej restauracji spotykamy oficerów niemieckich, którzy z zainteresowaniem przypatrują się naszym „beselerkom“.

Dnia 4.IV o godz. 8 wymarsz do Gromów, gdzie do 1 batalionu przybywa część piechoty 2 korpusu, co razem tworzy 13 p. s. Dowódcą jest pułkownik Nowicki, adiutantem mianowany jest ppor. Orski (Łabuś), ja zaś zostaję lekarzem pułkowym i mam do swej dyspozycji 2 felczerów prócz mych 2 przybocznych podoficerów sanitarnych. Razi nas brak dyscypliny u żołnierzy 2 korpusu; lekcję dyscypliny dał jednemu podoficerowi przydzielony mi plut. san. Pikuta, który wyrzucił podoficera 2 korpusu za drzwi za to, że wszedł bez pukania i wobec mnie zachował się nie po wojskowemu.

Przy 13 p. s. znajduje się wywiadowczy patrol konny, dowodzony przez porucznika Janusza Wajnsztoka, składający się z około 50 jeźdźców. Do tego oddziału dołączam się i robię odtąd wywiad sanitarny miejscowości, które ma zająć nasz pułk.

Dnia 7.IV wymarsz rano przez Humań do Starych Babaków, gdzie przybywamy o godz. 6 wiecz., każdy zdaje sobie dobrze sprawę z naszych nikłych sił, rozpowiada jednak każdy na wszystkie strony iloma kolumnami my maszerujemy i jaka potęga naszego wojska idzie za nami. Grunt — to robienie nastroju. W Humaniu zwraca uwagę zaśmiecenie ulic siemieczkami, które każdy zajada, wypływając na wszystkie strony łuski. W Humaniu defilujemy przed gen. Hallerem („Mazowiecki“). W jakiś czas później dostaliśmy nieco rekruta z Humania.

Dnia 8.IV o godz. 10 odmarsz, o godz. 4 po poł. jesteśmy w Mańkówce. Trafiamy tu również na życzliwych ludzi.

Dnia 12.IV przemarsz do Kaslina, 13.IV do Rebki, a 14.IV do Medwina. Wszędzie spotykamy się z ludnością, która nam sprzyja, nienawidzi Niemców i widzi w nas sprzymierzeńców hetmana Skoropadskiego.

Dnia 16.IV przemarsz do Huli, gdzie ludność odnosi się do nas z rezerwą. Jadę z patrolem wywiadowczym—widzimy, jak na polach chłopci zaprzęgli do brony wspaniałego araba. Rozumie się był nasz.

Dnia 17.IV przechodzimy przez Mironówkę, gdzie spotykamy się po raz pierwszy z kompanią Niemców, którzy obsadzili wzgórze i nie chcą zezwolić nam na dalsze posuwanie się naprzód. Jako jedyny oficer, znający język niemiecki, służę za tłumacza. Dowódca kompanii niemieckiej oświadcza, że ma w swym rozporządzeniu batalion, reszta zaraz przybędzie do Mironówki, proponuje nam przejść do pobliskiego folwarku, on pod żadnym warunkiem nie może nas dalej przepuścić. Porucznik Wajnsztok wysłał w tył łącznika z meldunkiem do gen. Hallera, sami zaś oświadczamy Niemcom, że zaczekamy tutaj na korpus, a wtedy okaże się, czy potrafi on wykonać swój rozkaz.

Po upływie pół godziny nadchodzi siła główna z orkiestrą na czele, za nią pułk „inżynieryjny“ z bagnetami na karabinach; oficer niemiecki wycofuje swą kompanię ze wzgórza. Tego dnia wchodzimy do Kozina, korpus cała rozlokowuje się w pobliskich wsiach.

W Kozinie ludność biedna, aprowizacja nasza nie jest należycie unormowana, korzystamy ze sposobności; któregoś dnia zabiera kpt. Matczyński Niemcom ze stacji kolejowej w Miro-

nówce kilkanaście wozów z prowiantem, karabinami maszynowymi i ręcznymi oraz amunicją.

Zaczyna się dla nas okres udręczeń, słysząc o pertraktacjach Rady Regencyjnej z Niemcami, nie idziemy przez Dniepr, gdyż jest obsadzony na przeciwnym brzegu przez brygadę Niemców; od czasu do czasu przybywają do naszych dowódców parlamentariusze niemieccy z propozycją poddania się, potem następują przeproszenia z powodu omyłki.

O I korpusie gen. Muśnickiego nie ma pomyślnych wieści, w każdym razie do szerszego naszego ogółu nie przedostają się żadne bardziej pocieszające wiadomości. Jedno co jest dobre, to napływ ochotnika, którego się uzbraja i ćwiczy i wieści o nadejściu z Kijowa czy z Moskwy gotówki dla korpusu.

Ciągle jednak są kłopoty z liniami telefonicznymi, które stale uszkadzają chłopci tutejsi, zapewne opłacani przez Niemców.

Kpt. Matczyński wyjeżdża w jakiejś misji do Kijowa, zjechał na naszą kwaterę Wieniawa Długoszowski i na drugi dzień pojechał dalej. Dzieją się jakieś tajemnicze rzeczy, z których żaden z nas się nie cieszy.

Dnia 6.V odszedł 2 batalion 13 p. s. do Jamczychy, a dnia 10 maja odmaszerował tam również 1 batalion, czyli reszta 13 p. s.

Dnia 11.V o godz. 4 zarządzo no w Jamczysze alarm i ostre pogotowie. Dowiadujemy się, że w nocy około godziny 1-szej napadli Niemcy na placówki nasze, weszli między 4 a 5 dyw. piech., (pułk 13 i 14 stanowił 4 dyw., a pułk 15 i 16 — 5 dyw.) 5 dyw. miała się poddać, zaś z czwartą rozprawiali się Niemcy.

Rozpoczęła się walka na terenie: Potoki, Masłówka, Kozin i Jamczycha. Około godz. 7 słyszymy strzały naszej artylerii.

Pogoda fatalna, pada drobny deszcz wśród przenikliwego zimna. Płaszcze rosyjskie namakają i utrudniają ruchy naszej piechocie, której przecież na tej dużej przestrzeni jest bardzo mało.

Urządzam pułkowy punkt opatrunkowy w szkole w Jamczy-sze i wkrótce otrzymuję rannych.

Około godz. 4 po poł. ustaje strzelanina; za chwilę dowiadujemy się o zawieszeniu broni i podjętych rokowaniach z dowództwem niemieckim. Jako parlamentariusze — i zakładnicy zarazem — korpusu wyjechali: płk Pogorzelski, kpt. Malinowski (pseudonim Linowski) i ktoś trzeci.

W parę godzin później dochodzą nas wiadomości o poddaniu się korpusu. Niszczymy aptekę, łamiąc instrumenty i wlewając kwas karbolowy do słoików z proszkami. Rannym wydajemy jałowe opatrunki na zapas, sobie zostawiliśmy podręczne apteczki. Siodło pociął na zelówki mój luzak, klacz ma zastrzelić.

Dnia 12.V — ostatni rozkaz dzienny dowództwa korpusu, dotyczący się pogrzebu zabitych i zdania broni, taboru itp. Koło południa następuje właściwe rozbrojenie; żołnierze rzucają na wozy lub ziemię uszkodzone karabiny. Po południu odmarsz oddziałów z Jamczychy pod eskortą niemiecką.

Wśród żołnierzy rozpuszczono rozmyślnie pogłoskę o samobójstwie gen. Hallera. Na stacji kolejowej Tagańczy kilku nas poznaje gen. Hallera, ubranego w migdałowej barwy sportowe ubranie i ogolonego. Wsiadł do pociągu odchodzącego do Kijowa.

Oczekując na zawagonowanie, wielu z nas doznaje złudzenia słuchowego dalekich strzałów armatnich. Niektórzy sądzą, że to 1 korpus walczy z Niemcami. Skończyło się naturalnie na niczym nieuzasadnionej plotce.

O godz. 12 w nocy wsiadamy do wozów. Nawiasowo dodając, że poprzedniego dnia każdy żołnierz dostał kilkadziesiąt a może nawet 100 rubli (czy marek) i nieco prowiantu. Bardzo wielu żołnierzy jest zdecydowanych do ucieczki podczas transportu.

Ranni są umieszczeni w osobnym wozie, opiekę nad nimi powierzył mi płk dr. Miłodrowski, szef sanitarny korpusu, do pomocy mam swoich sanitariuszy.

Dnia 13.V o godz. 8 rano przyjechaliśmy do Mironówki. Dowiadujemy się, że stąd odeszło już kilka transportów naszych żołnierzy z Kozina i Potoka; dlatego tak długo trwała nasza podróż z Tagańczy, oddalonej od Mironówki o kilkanaście kilometrów. W Mironówce wchodzi do wagonów eskorta niemiecka. Dowództwo eskorty i zmiana znajduje się w ostatnim wozie. Droga nasza prowadzi przez Rokitno, Fastów, Białą Cerkiew, Równe.

W drugim dniu podróży Niemcy przeprowadzili rewizję rzeczy naszych, pozabierali broń, łamiąc tym samym honorowy warunek kapitulacji korpusu — i pokradli brzytwy, mydła i inne rzeczy, bardziej wartościowe lub pożądane. Rannym zmieniam opatrunki. Wielu naszych żołnierzy uciekło w Fastowie, na stacjach innych lub podczas biegu pociągu. Eskortą niemiecką strzelała do nich, zdaje się, bez skutku.

Dnia 16.V jadąc przez Kowel do Brześcia Litewskiego, widzimy w kilku miejscach palące się lasy. W Brześciu Litewskim przeprowadzają Niemcy kąpiel i odkażenie, przy czym po raz drugi okradli nas. Z dworca do łaźni odległość wynosiła około 2 kilometrów, wielu oficerów odbyło tę drogę i powrotną, niosąc toboły z rzeczami.

Dnia 17.V po południu dojechaliśmy do Grodna. Dnia 18.V o godz. 7 przejeżdżamy przez Augustów, a o g. 1 po poł. przez most na Niemnie. Na obu brzegach Niemna jest wiele świątyni

drzewa, które splawiają Niemcy. O g. 2,30 po poł. przyjeżdżamy do Suwałk, a o godz. 5 po poł. do stacji granicznej Margrabowo. Potem jedziemy przez Lotzen, Deutsch Eylau, Chojnice, Passewalk, Strassburg. Na terytorium niemieckim zmieniam rannym ostatni raz opatrunki.

Dnia 20.V 1918 r. o g. 6 po poł. zajeżdżamy do Güstrowa (Mecklenburg). Wchodzimy do dużego obozu jeńców, składającego się z kilkunastu długich baraków.

Jarosław Świechowski.

E G Z A M I N

Dwumiesięczne przeszkolenie kompanii szturmowej II Brygady Legionów miało się ku końcowi. Dnia 17 lutego 1918 r. mieliśmy opuścić obóz szturmowy 7 armii austriackiej w Oberscherautz na Bukowinie i odmaszerować do pułków jako przyszli instruktorzy polskich oddziałów szturmowych.

Zaszczyt dowodzenia kompanią szturmową, jaki mnie spotkał, był nie lada, bo w skład jej wchodził żołnierz specjalnie wybierany z obu pułków II Brygady, żołnierz karny, dobrze w bojach zaprawiony, fizycznie wytrwały, jednym słowem „kwiat frontowców“. Kompania w sile 74 szeregowców i 4 oficerów, uformowana była w trzy plutony, dowodzone przez oficerów 2 i 3 pułku Legionów, podporuczników Mitscheina Józefa i Organa Antoniego z 3 p. p. i chorążego Matuszewskiego z 2 p. p.

Program kursu był obszerny, czas na przeszkolenie stosunkowo krótki. Był to okres pracy wojskowej, w którym z całą zachłannością pożeraliśmy wszelką wartościową wiedzę, z całym oddaniem i zaparciem się harowaliśmy z wywieszonymi językami, bo tak nakazywała duma i ambicja legionowa.

Nic też dziwnego, że w początkach kursu kilkunastu żołnierzy, fizycznie mniej na trudy w twardej szkole szturmowej wytrwałych, odeszło do swych oddziałów macierzystych, lecz ci co pozostali stanowili naprawdę „elitę“. Bywało nieraz, że żołnierze po powrocie z całodziennych ćwiczeń do obozu, bez posiłku jak kłody rzucali się na poślanie, mimo swej przysłowiowej zawziętości na „kocioł“.

Prócz kompletnego wyekwipowania, uzbrojenia szturmowego i polowej kancelarii kompanijnej, mieszczącej się w plecaku sierżanta-szefa, nie była kompania obciążona żadnym sprzętem ani taborami. Pod względem „fasunków“ i wyżywienia należeliśmy do austriackiego batalionu Chorwatów, w skład którego wchodziliśmy jako piąta jego kompania. Jedyne amunicję pobieraliśmy wprost od zbrojmistrza obozu. Tak więc „die polnische Kompagnie“ jak nas w obozie nazwano, zajmowała się tylko ćwiczeniami, wolna od wszelkich kłopotów administracyjnych.

Oboz szturmowy mieścił się w m. Oberscherautz, w rozległej wsi na północny zachód od Sadogóry, w odległości około 10 km. od frontu bojowego, w dolinie od wschodu i północnego-wschodu zamkniętej lasami poprzeryzanymi jarami i wąwozami, ciągnącymi się prawie do pozycji.

W tej to wsi, przeważnie rusko-rumuńskiej, oprócz naszej kompanii rozłożonych było na kwaterach 8 kompanii szturmowych austriackich, oddziały ciężkich karabinów maszynowych, artylerii, saperów i innych technicznych przynależności. Skład narodowościowy, jak zwyczajnie w austriackim wojsku najrozmaitszy o dużej przewadze Chorwatów wśród szeregowych, elementu z natury bitnego i odważnego, korpus oficerski to mieszanina Niemców austriackich, Tyrolczyków, Chorwatów, Węgrów, Czechów i jeden Polak, Benedykt Jacórzyński instruktor karabinów maszynowych.

Kompania moja rozkwaterowana była w środku wsi, w nędznych chałupach wyniszczonej i zmaltretowanej wojną ludności. Zdarzały się także kwatery, gdzie kwaterowaliśmy wspólnie z Austriakami, przedzieleni jedynie sionką. Współżycie nasze z Austriakami było zupełnie poprawne, co mogłoby się zdawać dziwnym na owe czasy, lecz jak już wspomniałem, całodzienne

wymęczenie pracą w terenie odbierało chęć do jakichkolwiek ekscesów i zatargów, z drugiej zaś strony trzeba przyznać, że tych „sprzymierzeńców“ specjalnie lepszą ocenialiśmy miarką, bo każdy z austriackich szturmowców był odznaczony przynajmniej brązowym „Tapferkeitsmedaillem“ za waleczność. Chciałbym tu zaznaczyć, że dla walecznych i dzielnych oddziałów



Kompania szturmowa II Brygady Leg. Pol. w Oberscherautz.

nawet austriackich byliśmy zawsze z pełnym żołnierskim uznaniem. Wspomnę tu chociażby grupę obersta Pappa na pozycji „Bojan“, albo ową słynną baterię Glasera, krakowianina, współdziałającego z nami przez dłuższy czas, a której należy się wspomnienie w dziejach walk legionowych. A któż z ówczesnych oficerów 2 p. p. nie pamięta, jakeśmy to na kwaterze oficera tej baterii Józka Kaziroda-Lubelskiego wino na szable leli, lub

owego pięknego Rumuna Terangula, wiecznie strzegącego na punkcie obserwacyjnym baterii, na odcinku I-go batalionu? W najokazalszym, murowanym z czerwonej cegły budynku wiejskim, dawnej szkole powszechnej, tuż przy komendzie obozu, mieściła się „menaż“, gdzie schodzili się oficerowie na obiady i kolacje, zwłaszcza te ostatnie kończące się późną nocą libacją. przy dźwiękach improwizowanej kapeli, złożonej z oryginalnych grajków cygańskich, których nie brak było szczególnie w oddziałach węgierskich. W obszernej sali jadalnej ustawione były stoły w podkowę, przy których na środku prezydialne miejsce zajmował oberst, komendant obozu, w otoczeniu swych sztabowców, reszta oficerów grupami narodowościowymi, co zresztą także nie było już wówczas rzeczą przypadku, lokowała się na obu skrzydłach. Grupa legionowa z „Fähnrichem“ Jacórzyńskim miała przy stole za sąsiadów Chorwatów i po drugiej stronie sympatycznych Słowaków, żrących się ustawicznie z Czechami. Rozmowy przy stole dotyczyły przeważnie tematów z wyszkolenia wojskowego, nieraz jednak, gdy wino pobudziło krew do szybkiego krążenia, wchodzono na zawile w konglomeracie austriackim zagadnienia narodowościowe. Wówczas grupy narodowościowe, każda dla siebie, żądały od nieszczęsnych muzykantów grania wyłącznie swojskich melodii. Z tego powodu dochodziło do scysji a nawet doszłoby nieraz do szabel i pistoletów, lecz w takich momentach czujny jak żuraw oberst podnosił z krzesła swą postać godnością nadętą, na chwilę wyjmował z ust, z grymasem przymusu, nieodstępne, wiecznie dymiące „Virginia“. pięknym, pańskim ruchem lekko strzepywał popiół i wypowiadał tylko dwa sakramentalne słowa „meine Herren“, co miało ten skutek, że swary natychmiast milkły i oficerowie bezapelacyjnie opuszczali salę menażową, udając się na kwatery.

W takich mniej więcej warunkach i otoczeniu żyliśmy spokojnie prawie przez dwa miesiące, z dala od swych pułków, od reszty świata i dzienników, zajęci wyłącznie służbą, gdy tymczasem, gdzieś na dalekich naszych tyłach przy zielonych stolkach, rozgrywały się rzeczy wielkie, doniosłe w swych skutkach.

Dnia 13 lutego mieliśmy w menaży gościa przy kolacji, specjalnie przez obersta adorowanego, przybyłego w jakiejś niezrozumiałej dla nas misji do komendanta obozu. Był to oberleutnant, pochodzący, jak się z rozmowy dowiedziałem, ze Lwowa, z którym też z tego powodu zawarłem znajomość, a po sutej, mocno zakropionej kolacji zaprosiłem mego „krajana“ na kwatere. Gdyśmy już leżeli na wspólnej, szerokiej pryczy, oberleutnant przed zaśnięciem odezwał się do mnie sennym, nieco przepitym głosem:

— Czy ty wiesz kto ja jestem?

— ?

— Ja jestem Ukrainiec!

— Wszystko mi jedno, jesteś Lwowianin a więc mój krajani i gość a czym chata bogata... reszta jest mi obojętna — odpowiedziałem.

Po chwili gość mój westchnął i znowu mówi:

— Jutro będziesz inaczej mówił — ej! żebyś ty wiedział wszystko, tobyś ty mnie dźgnął bagnietem na tej pryczy...!

— Zalał się krajani — pomyślałem, zdmuchnąłem świeczkę i wkrótce usnąłem.

Na drugi dzień jak zwykle pomaszzerowałem z kompanią na ćwiczenia, podprowadzając jeszcze tajemniczego gościa pod budynek komendy.

Był w obozie przyjęty zwyczaj, że odchodzący oddział, na zakończenie kursu przeprowadzał wzorowe ćwiczenia pokazowe. Ćwiczenia te, będące do pewnego stopnia egzaminem sprawności i tężyzny bojowej danego oddziału, zaszczycał ktoś z wysoko postawionych dygnitarzy sztabu, a więc jakiś „spec“ n. p. szef sztabu, dywizjoner, lub rzadko komendant korpusu. Ćwiczenia takie, przy użyciu ostrej amunicji, z udziałem wszystkich rodzajów broni z wyjątkiem jazdy, przy zastosowaniu najnowszych zdobyczy techniki wojennej, dawały do zupełnego złudzenia obraz prawdziwej, trudnej walki. Wówczas w ferworze i zapale bitewnym, na oczach wysokich dowódców, szczególnie oficerowie „sztabowi“ dokazywali cudów męstwa i odwagi osobistej, z których znowu kpili niemiłosiernie austriaccy oficerowie rezerwy. W rezultacie tych „bojów“, nierzadko znajdowano trupy od własnych pocisków a nigdy nie obeszło się bez łez lub ciężej rannych szeregowych.

Na zakończenie naszego kursu miał zjechać osobiście aż sam dowódca 7-mej armii, generał Krzitek w otoczeniu świetnych „generalszteblerów“. Na samą wiadomość o tym doniosłym zamierzeniu powstał nawet w obozie chaos, dość szybko zresztą opanowany przez obersta. Na nas, jakkolwiek mieliśmy być przedmiotem obserwacji, wiadomość ta nie zrobiła większego wrażenia, o awanse nie chodziło, o orderzy nie dbaliśmy, więc bez gorączki, z największym spokojem przez cały dzień przerabialiśmy poszczególne fragmenty faz bojowych, z góry dokładnie przestudiowanych. Trzeba przyznać, że takie nasze zachowanie podobało się oberstowi. Była właśnie południowa przerwa w ćwiczeniach, gdy podszedł do mnie z jakąś niemiecką gazetą leutnant Smazał (w cywilu student filoz. uniwersytetu w Pradze) i wskazał mi naczelny artykuł, grubo czerwonym ołówkiem zakreślony,

w którym były podane warunki zawartego właśnie pokoju w Brześciu. W pierwszej chwili nie mogłem dokładnie zrozumieć sensu artykułu, lecz po kilkakrotnym przesyłabizowaniu tłustego druku pojąłem aczkolwiek jeszcze niewyraźnie jakąś straszną tragedię. Przerzątał tekst dotyczący Ukrainy i jakoś bezwiednie przyszły mi na pamięć słowa wczorajszego „krajana”. Właśnie trąbiono dalszy ciąg ćwiczeń, lecz stałem czas jakiś jak odurzony nie wiedząc co mam robić, po czym wstrząsnąwszy się jak ze snu przykrego, zacząłem kontynuować wyuczone czynności zupełnie odruchowo, bezwiednie, myślami będąc daleko od rozgrywającej się akcji. Sygnał trąbki zakończył ćwiczenia, zwołowano oficerów na omówienie. Po drodze podałem moim oficerom do wiadomości treść niedawno przeczytanego artykułu, chorążemu Matuszewskiemu kazałem nazajutrz z rana udać się do pułku dla zasięgnięcia języka, a tymczasem poleciłem zachować spokój i opanowanie. Wolnym krokiem, milcząc, doszliśmy do wzgórza na którym zgromadzeni byli już oficerowie austriaccy. Zauważyłem wówczas, że oczy wszystkich zwrócone na naszą małą grupkę, bacznie obserwują nasze zachowanie, usiłują wtargnąć do wnętrza naszych dusz i umysłów. Odprawa tym razem była bardzo krótka, rzadko zabierałem głos i wyczuwałem, że oberst oszczędza mnie pytaniami, jakby czegoś zażenowany w stosunku do nas.

Doszedłem do kompanii. Widocznie żołnierze coś musieli już usłyszeć, gdyż zbiórka zwykle gwarna, odbywała się milcząco i apatycznie. Parę zwrotów w miejscu, szcęk broni i ruszamy w kierunku obozu. Lecz cóż to? po komendzie „odtrąbiono” cisza grobowa panuje w szeregach, słysząc tylko miarowy tupot nóg i chrzęst rynsztunku. A przecież jest to w obozie najwięcej i najpiękniej śpiewająca kompania!

W zupełnej ciszy, ciężkimi nogami dowlekliśmy się do wsi a przechodząc obok komendy, wbrew regulaminowi, jakoś mimowoli kompania pierwszy raz nie oddała honorów stojącemu przed budynkiem oberstowi z grupą oficerów.



Okolice Rarańczy. W okopach kompania szturmowa.

Po przybyciu na plac zbiórki, przerobiłem jak zwykle z kompanią parę taktów musztry zwartej, po czym żołnierze rozeszli się po kwaterach.

Wieczór tego dnia przesiedziałem z oficerami na kwaterze, gdzieśmy do późnej nocy rozmyślali nad wytworzonym położeniem, szukaliśmy rozwiązania sprawy, a myśli wciąż biegły uporczywie do mglistych jeszcze, nie dawno zasłyszanych wieści z za kordonu, o kilku korpusach polskich, pod wodzą gen. Dowbora-Muśnickiego...

O ileż szczęśliwsza jest I Brygada — dumałem, — oni mają Komendanta, który za nich wszystkich myśli, w proroczej wizji dawno przewidział epilog, jaki teraz dopiero nastąpił... ...a my, karpacka Brygada, wierni idei „żelaznych żołnierzy“, wykluczający z naszych szeregów wszelką politykę, uporczywie dzierżący ostatnie karabiny w polskiej garści, czegoż dzisiaj doczekaliśmy?...

Od czasu do czasu któryś z nas wychodził do kwater żołnierskich zobaczyć co chłopcy robią i jakkolwiek nie było tutaj nic do powiedzenia, to przynajmniej widok dowódców, do których żołnierz legionowy miał zawsze bezgraniczne zaufanie, działał kojąco na wiarusów.

Przechodząc po chałupach, widziałem w jednych żołnierzy czyszczących broń starannie, niemal pieszczotliwie, jakby żegnali tę wierną towarzyszkę tylu bojów, w innych siedzących w milczeniu, bez zwykłego rozgwaru jaki czyni młodość, beztroskie życie żołnierskie i poczucie spełnionego obowiązku. Żołnierze ze zwykłym szacunkiem podnosili się z ław, zwracali na mnie smutne oczy, które wyrażały niemy krzyk — „co się stało? dlaczego tak? co będzie dalej poruczniku?“ — a ja sam byłem równie zgnębiony i pierwszy raz bezradny wobec podkomendnych.

W tę noc długo nie gasły światła po kwaterach polskiej kompanii...

Zima roku 1917/18 była dość łagodna w porównaniu do poprzednich lat wielkiej wojny. Największe nasilenie mrozów dało się odczuć mniej więcej od okresu świąt Bożego Narodzenia do ostatnich prawie dni stycznia; śniegów też dużo w tym roku nie naprószyło, zamiast śmigłych sań, na drogach bukowińskich

skrzypiały koła wozów podskakujących na zmarzniętych koleinach. Już w pierwszej dekadzie lutego, zeszała z pól biała szata, spod szronu wylaniała się czarna ziemia a tylko w zagłębieniach, po jarach i rowach przydrożnych świeciły białe plamy przybrudzonego śniegu.

Mglisty ranek zimowy 15 lutego rozpoczynał się szaro, jak szare i ponure były myśli żołnierzy wlokących się tego dnia z kwater na plac zbiórki.

Dzisiaj miała się odbyć ostatnia próba ćwiczeń pokazowych. Zdawaliśmy sobie sprawę z naszego położenia i wiedzieliśmy, że teraz te wszystkie hece wobec „sprzymierzeńców” sensu nie mają, że będziemy odgrywać rolę jakichś tragicznych aktorów, lecz wyrobione w ciągu lat poczucie dyscypliny i wysoka ambicja żołnierska, kazały wytrwać z godnością do końca.

Odbierałem raport ostatniego plutonu, gdy spostrzegłem wylaniającą się zza opłotków chudą, długonogą postać podporucznika Stefana Stebleckiego, który widocznie zmęczony, przystając między chałupami, powoli zbliżał się do nas. Podbiegłem do niego, wiedziony ciekawością i radosnym jakimś przecuciem, lecz Stefan z daleka położył palec na ustach na znak tajemnicy i milczenia, a gdyśmy podali sobie ręce rzekł — „przysłano mnie do ciebie z pułku, idziemy do Dowbora”. — Tu już nie wytrzymałem, ucałowałem zwiastuna najmiłszych wieści, poczułem ucisk w okolicy grdyki i wilgoć w oczach... A tymczasem Stefan mówił szybko — „nikt z obcych nie może wiedzieć o moim tu przybyciu, odpraw kompanię, ja zaraz muszę wracać do pułku”.

Dałem znak podporucznikowi Organowi, by kompanię prowadził w pole. Cała scena powitania odbyła się na oczach kompanii i teraz żołnierze odchodząc wciąż się odwracali obserwując nas ciekawie.

Staliśmy obaj w uliczce wiejskiej oparci o żywopłot, a Stefan w krótkich słowach opowiadał mi przebieg wypadków, nastroje w Brygadzie, przewidywania nasze i nadzieje... Wczoraj, późnym wieczorem wyszedł z pułku, unikał dróg uczęszczanych, szedł na przełaj polami, po bezdrożach, błdził, często potykał się, padał, aż gdzieś po północy, gdy niebo przetarło się i gwiazdy wyszły, odnalazł właściwy kierunek do Oberscherautz. Teraz dopiero zauważyłem, że jest cały zabłocony i sponiewierany. Poszliśmy na moją kwaterę, gdzie Stefan zjadł sporą porcję jajecznicy, popił „glühweinem“ na prędcie zagotowanym i zaopatrzony w manierkę z rumem, dla rozgrzewki na drogę, ruszył z powrotem do Mamałowic. Odprowadziłem go za wieś i poczękałem aż chuda postać, skacząca długimi krokami po zamrzniętych bruzdach, znikła za pagórkami.

Pogwizdując z ukontentowania, rażnym krokiem ruszyłem przez wieś w kierunku placu ćwiczeń, za kompanią.

Jak to serce ludzkie jest zdolne w jednej chwili przejść z jednej krańcowości w drugą, od rozpacz i desperacji do najwyższych uniesień radości i nie pęknie z nadmiaru uczuć! Chciałem biec za kompanią, wołać, krzyżeć lecz powaga 21-letniego dowódcy nakazywała zachować spokój i rozsądek w postępowaniu.

Rozkaz ustny, jaki otrzymałem, był bardzo krótki, streszczał się w jednym zdaniu: „dnia 15/II o godzinie 22.30 kompania szturmowa z Oberscherautz dołączy do maszerującej Brygady na zakręcie drogi z m. Mahali do Rarańczy“. Sposób wykonania tego rozkazu jak i marszruta, pozostawione mojej decyzji.

Rosłem w dumę, że to ja właśnie mam wykonać to trudne bądź co bądź zadanie, zdany jedynie na własny spryt i z tego powodu byłem tak zarozumiały, że w pewnej chwili wstyd mi się zrobiło samego siebie. Idąc polem myślałem nad sposobem

rozwiązania mojego zadania, coraz to nowe plany mi się nasuwały, a każdy zdawał się być lepszym. Zanim doszedłem do ćwiczącej kompanii, miałem już z grubsza ułożony plan działania i od razu przystąpiłem do wykonywania wstępnych czynności.

Kompania małymi grupkami i patrolami szturmowymi rozrzucana w terenie, posuwała się rowami i lejami granatnymi w kierunku suponowanego przeciwnika, robiąc dużo zgiełku i huku granatami, których zupełnie nie szczędzono. Od razu wlałem w tę atmosferę „bitewną“ i z całym zapalem, jakby reszta spraw świata niczym była w porównaniu do tego co się tu dzieje, oddałem się ćwiczeniom. Chłopcy — widziałem po ich minach — zdziwieni moim animuszem, zachodzili w głowę, co za niesamowite historie tutaj się wyprawiają, a ja formalnie szalałem; krzyczałem, poprawiałem, bez istotnego powodu kazałem kilkakrotnie powtarzać poszczególne fragmenty ćwiczeń, aż wreszcie osiągnąłem zamierzony cel. Komendant batalionu, oberleutnant Durbossics, któremu podlegałem pod względem wyszkolenia, zwrócił mi uwagę, by nie przemęczać kompanii. Tego tylko czekałem. Oświadczyłem zaraz oberleutnantowi, że z powodu niedbałego wykonywania ćwiczeń przez kompanię, zamierzam urządzić karne ćwiczenia. W zasadzie komendant batalionu nie był temu przeciwny, ponieważ austriaccy dowódcy często i z ochotą takie ćwiczenia urządzali uważając, że to podnosi dyscyplinę, ale zwrócił mi uwagę, że ludzie na jutrzejszy występ przed ekscelencją mogą być przemęczeni. Dziwili się Austriacy, że polska kompania będzie miała karne zajęcia, co się nigdy dotychczas nie przytrafiło.

Znikały kompanie, jedna po drugiej schodzące z placu ćwiczeń, a my jeszcze przerabialiśmy „paradny krok“. Zmrok już zapada, gdy zeszliśmy do wsi.

Na kwaterze wtajemniczyłem oficerów kompanii o planie przejścia Brygady, poczem zwołałem starszych podoficerów na wspólną odprawę. Upewniwszy się, że w sieni ani pod oknami nikogo z niepowołanych nie ma, rozpocząłem przemówienie, drżącym od wzruszenia głosem. Przedstawiłem bardzo ogólnie dotychczasową działalność Legionów, nadzieje narodu polskiego i cios ostatni, który w gruzy miał obalić nasze ideały żołnierskie. Podoficerowie z natężeniem słuchali mojego przemówienia; w ciastnej, chłopskiej izdebce zrobiło się duszno, mała lampka naftowa rzucała nikłe światło na twarze zastygłe w oczekiwaniu tego, co dalej nastąpi.

Był to dla mnie najuroczystszy moment w życiu!

Stanąwszy na baczność, zakomenderowałem przyciszonym głosem „baczność, do przysięgi!“ Uniosły się palce prawych rąk na wysokość ramienia i wszyscy obecni powtarzali za mną cicho słowa przysięgi: „cokolwiek zajdzie, zachowam tajemnicę i wypełnię rozkazy jakie dla dobra Ojczyzny teraz otrzymam, tak mi dopomóż Boże“.

Dzisiaj, gdy po 19-tu latach, przeglądam notatki i zapiski dotyczące kompanii z Oberscherautz, nie mogę oprzeć się wzruszeniu.

Dlatego wówczas zarządziłem przysięgę, nie mogę sobie zdać sprawy, wystarczył przecież zupełnie zwyczajny rozkaz. Może do pewnego stopnia romantyczność przedsięwzięcia, osamotnienie od reszty polskich oddziałów, szalone ryzyko w razie najmniejszego błędu w działaniu podyktowało mi, aby w ten sposób zwrócić uwagę podkomendnym na niezwykłość naszego położenia.

Teraz spokojnym głosem przedstawiłem cały stan rzeczy. W oczach dzielnych podoficerów płonęły ognie, na uśmiechnięte,

zadowolone twarze wychodziły rumieńce zapału do czynu wielkiego, i czuliśmy się jeszcze bardziej związani ze sobą, na śmierć i życie, gotowi do największych poświęceń dla dobra wspólnej sprawy.

Była mniej więcej godzina 16-ta, dużo więc czasu na przygotowanie do odmarszu nie pozostało. Przewidując trudny marsz nocny, i by nie zwracać uwagi Austriaków, stale wałęsających się po naszych kwaterach, kazałem ostentacyjnie porozkładać na kwaterach zbędne na daleką drogę przedmioty wyekwipowania, zabierając tylko najniezbędniejsze części mundurowe i ekwipunku.

Zbiórkę kompanii wyznaczyłem o godzinie 20-tej w odległości pół kilometra od północnego wylotu Oberscherautz, z kierunkiem marszu na Waslowiec, z zachowaniem wszelkich pozorów karanych ćwiczeń nocnych.

Wkrótce wszystko do odmarszu było przygotowane z wyjątkiem jednego ważnego szczegółu — zupełny brak amunicji! Po każdym ćwiczeniu trzeba się było wyliczać ze zużytej amunicji, niezużytą oddawać do magazynu zbrojowni, a pozostawienie chociażby jednego naboju było surowo wzbronione. Lecz czegoż nie dokaże w takiej potrzebie spryt i tupet leguński! Udałem się do komendanta batalionu, niby to dla omówienia jutrzejszych ćwiczeń, a uchwyciwszy moment dobrego nastroju, prosiłem go o zezwolenie pobrania dzisiaj amunicji, gdyż jutro będzie mało czasu a chciałbym z rana przerobić jeszcze jedno trudniejsze ćwiczenie. Nic nie przeczuwający pocziwy oberleutnant Durbessics po namyśle wydał mi kartkę do zbrojmistrza zaznaczając, że robi to na moją odpowiedzialność. W godzinę po tej konferencji, skrzynki ostrej amunicji i granatów ręcznych znajdowały się na wyznaczonym miejscu zbiórki.

Pozostałe trzy godziny czasu zajęły przygotowania do ostatecznej likwidacji osobistych spraw łączących nas z tą stroną frontu. A więc przede wszystkim parę słów pożegnania do najbliższych sercu, bez wielkiej co prawda nadziei, aby listy doszły do rąk przeznaczonych. Teraz następowało sortowanie „majątku” osobistego, przebieranie różnych szpargałów jak notatniki, mapy, listy, drobne pamiątki gdzieś od Karpat jeszcze noszone w plecaku, fotografie i dużo rupiecia nic nie wartego a które miały kiedyś, po wojnie przywozić na pamięć minione lata spędzone na służbie Ojczyzny... „Skarby” pieczołowicie zbierane i tak długo chronione w marszach na słońce i skwarze, w szpitalu czy w bitwie... rzucane drżącą ręką w ogień na moment jasnym blaskiem rozświetlały izbę, by po chwili zostać tylko tklwym wspomnieniem i kupką szarego popiołu...

Wśród moich „skarbów” miałem dwie cenne pamiątki; szablę ofiarowaną mi przez kompanię i pastelowy portret malowany przez oficera artylerii legionowej, Kazimierza Sichulskiego, artystę wielkiej miary. Niezmiernie przykro było mi rozstawać się z tymi pamiątkami, lecz zabrać je ze sobą na daleką, niepewną drogę też nie sposób. Szablę, z dołączeniem pięknej dedykacji pozostawiłem na kwaterze z przeznaczeniem dla Durbessica, jako dar od Polaków, za dostarczoną amunicję, zaś portret dałem na przechowanie „gaździnie” w nadziei, że kiedyś odbiorę...

Zbliżała się pora kolacji, na której obowiązkowo musiało się być w menaży. W sali jadalnej, do której przybyliśmy z opóźnieniem, zastaliśmy już prawie wszystkich oficerów. Gdyśmy zajęli miejsca za stołem odezwał się do nas oberst „czemu przypisać, że „die polnische Herren“ są dzisiaj w galowych mundurach?” Tu wyjaśnię, że „galowymi” mundurami nazwał oberst nasze „beselerki” ze srebrnymi „trzepaczkami” na ramionach.

Na codzienne zajęcia używaliśmy mundurów polowych, mniej strojnych z dystynkcjami na kołnierzu. I teraz zabierając ze sobą co mamy najlepszego, przywdzialiśmy te „galowe“ ubiory. Na chwilę zdetonowało mnie zapytanie obersta, lecz oto szczęśliwa myśl przyszła z pomocą. Krokiem sprężystym przeszedłem całą długość sali, stanąłem na baczność przed oberstem i siląc



Kompania szturmowa II Bryg. Leg. Pol. w akcji.

się na wytworność wyjaśniłem, że dzisiejszy wieczór, to nasz „Abschiedsfest“ gdyż jutro, zaraz po ćwiczeniach odejdziemy do Brygady i dlatego proszę posłusznie zaszczyścić nas wychyleniem pożegnalnej lampki wina. Szmer ogólnego zadowolenia przeszedł po sali, oberst podał mi rękę na znak, że łaskawie przyjmuje nasze zaproszenie.

Wkrótce partia dwudziestu butelek wina postawiona przez polskich oficerów, należała tylko do wspomnienia. Coraz nowe butelki przynoszono z kuchni, zaczęły się zdrowia i wiwały a tymczasem w kącie grajkowie brzdąkali w struny, strojąc instrumenty.

Zbliżała się godzina 20 a pijatyka nabierała coraz większego nasilenia.

W pewnym momencie wszedł na salę podoficer z centrali telefonicznej i zameldował oberstowi, że połączenie telefoniczne z Czerniowcami jest uszkodzone. Dokładnie słyszałem słowa meldunku podoficera i dreszcz jakiegoś nieokreślonego niepokoju a zarazem zadowolenia przeszedł po mnie. — Nasi zaczęli już robotę — pomyślałem, czas więc i na nas. Wskazując oczyma na drzwi, dałem moim oficerom znak, że czas na zbiórkę. Podniósł się pierwszy Mitschein, a za chwilę Organ i Matuszewski zniknęli za drzwiami.

Pod stołem uściskałem dłoń Jacórzyńskiemu, który był wtajemniczony we wszystko i który też zapewnił mnie, że w razie jakiegoś nieszczęścia jego karabiny maszynowe nie będą skutecznie użyte w ewentualnej walce z nami.

Wymknąłem się z sali jadalnej i wkrótce otulony płaszczem, szybkim krokiem, nie wstępując już na kwatere, podążyłem na plac zbiórki za wsią.

Teraz każda niemal minuta była droga, w każdej chwili mogły nadejść do obozu wiadomości o podejrzanym ruchach Legionów a co zatem idzie, pościg. W tym wypadku losy kompanii szturmowej byłyby przesądzone: ośm kompanii przeciwko jednej! Szczęściem, z pomocą przyszedł nam sojusznik — ciemna, bezgwiezdna noc!

Z trudem odnalazłem kompanię dobrze ukrytą w terenie. Do natychmiastowego odmarszu wszystko już było gotowe. Żołnierze posiadali po 140 naboju na karabin, po ośm granatów „jajowych“ w plecaku i po 4 granaty „stylowe“ za pasem, a więc cały zapas amunicji, jaki mieliśmy wystrzelać „na wiwat“ w czasie jutrzejszych ćwiczeń wobec „ekscelencji“.

Obrany pierwotnie kierunek marszu na Wasłowce a potem lasami na południowy wschód zmieniłem, gdyż spojrzawszy na ciemną masę boru bezdrożnego, pociętego głębokimi jarami uświadomiłem sobie, że z tych matni za dwa dni wyszlibyśmy. Ta chwila wahania trwała bardzo krótko, wydaję rozkaz „na lewo w tył marsz“, odbijamy od drogi na jakieś 500 metrów i cicho przechodząc, defilujemy wzdłuż naszego obozu Obersche-rautz. Zatrzymaliśmy się na chwilę, by poprawić rynsztunek, umocnić rzemienie łopatek, menażek i innych dzwoniących w marszu metalowych przedmiotów. Bagnetów na karabiny nie nasadzamy, gdyż blask tychże, może być z daleka zauważony a jedyną bronią przy ewentualnym zetknięciu się z Austriakami, mają być granaty i noże szturmowe.

Ruszamy dalej. Jak wilcy chytrzy, jak chmara upiórów bezszelestnie suniemy w poprzek zeszłorocznych zagonów, chciałoby się niemal na brzuchach pełzać, by tylko ominąć niepostrzeżenie oświetlone chałupy wsi. Marsz jest niesłychanie trudny i bolesny, stawiane po omacku podeszwy nóg ślizgają się po zamarznętej grudzie, na różne strony wykręcane co chwilę stopy sprawiają szalony ból w kostkach, a o zwolnieniu tempa mowy nie ma, bo od szybkości tempa zależy powodzenie przedsięwzięcia — wolność lub śmierć! A wieś wydaje się nieskończenie długa, wciąż jeszcze daleko do końca światła. Idąc spoglądam na fosforowe wskazówki zegarka; dochodzi godzina 21, blisko godzinę wlecemy się dwa kilometry. Nie przewidziałem,

że marsz będzie tak ciężki i zaczynam się obawiać, czy na czas zdążymy. Nareszcie mijamy wieś. Dalej tak powoli nie można iść, gdyż mamy mało czasu. Trzeba zejść na drogę prowadzącą do Sadogóry. Podchodzimy o jakieś 200 metrów do drogi i przystajemy. Podporucznik Organ z dwoma ludźmi podsuwa się do rowu przydrożnego. Dochodzi do naszych uszu zgiełk i hałas jakby ze skraju dopiero minionej wsi, widać na drodze poruszające się światełka w kierunku do Sadogóry. Nie ulega wątpliwości, że to szturmówki z Oberscerautz! Po chwili powraca Organ i potwierdza nasze domysły. Odbijamy znowu od drogi i maszerujemy jak poprzednio. Do Sadogóry jest jeszcze około 4 km. Austriacy na drodze zachowują się głośno, czoła kolumn oświetlają sobie drogę latarkami, maszerują bardzo szybko. „Myślą nas dopędzić“ szepce mi chorąży Matuszewski. Gwar na drodze jest nam na rękę, bez zwrócenia uwagi hałasem, możemy szybciej maszerować.

Szły tak koło siebie, w niedalekiej odległości dwie wrogie sobie kolumny; milcząca szczupła garstka polskich żołnierzy bez ojczyzny, przemykająca lisimi chodami do wrót wolności, osłaniana ciemnością nocy—jedynym sprzymierzeńcem, a tuż obok waliła z szumem wielekroć silniejsza, niemal że gwardia armii austriacko-węgierskiej...

Jakże kruche były podstawy zarzucanej II Brygadzie przyjaźni z potęgą państw centralnych, jakże płytkie i niskie umysły bezkarnie dotychczas usiłowały szarpać, przez całe niemal cztery lata, sławę karpackich pułków!

Z dala, coraz bardziej widać było łunę na niebie. To oświetlone miasteczko przyfrontowe, Sadogóra.

Dochodzi godzina 23.30, nie zdążyliśmy na czas! Nie nasza wina, tyle przeszkód stanęło na drodze. Przejść jednak na drugą stronę frontu musimy!

Jesteśmy około 700 metrów od miasta. Przystajemy. Widać wyraźnie, jak ciemna lawa Austriaków wnika do pierwszych zabudowań Sadogóry. Dla nas innej drogi marszu nie ma, jak przez samo miasto. Chowamy rogatywki i maciejówki legionowe do plecaków, na głowy ubieramy hełmy szturmowe. Tak przebrani niczym na zewnątrz nie różnimy się od Austriaków.

Starając się nie wywoływać hałasu, ładujemy broń, następnie na karabiny nasadzamy bagnety, jako jedyną, właściwą broń w nocnej walce ulicznej. Wydaję dalsze instrukcje: przez miasto przejdziemy zwartą kolumną z tym, że w razie zaczepki zewnętrzne szeregi czwórek obrzucą przeciwnika granatami ręcznymi dla wywołania zamieszania, po czym nie wiążąc się walką, jaknajszybciej podążymy na kraniec miasta, na drogę do Rarańczy.

Zakazałem wszelkich rozmów po polsku w czasie marszu przez miasto, ci zaś z żołnierzy, którzy znają niemiecki, mają jak najwięcej i głośno rozmawiać w tym języku. Podporucznika Organa dyryguję na koniec kompanii, Matuszewskiego na pluton środkowy, sam idąc parę kroków przed czołem oddziału.

Ruszamy naprzód.

Ponuro i groźnie wyglądała ta gromada żołnierstwa, zdecydowana nie cofnąć się przed niczym, cokolwiekby na drodze stało!

Trafiamy na jakąś wyjeżdżoną drogę polną, którą maszerujemy szybciej już i bardziej zdecydowanie. Cisza zupełna panuje w kolumnie, tylko serca w piersiach mocniej łomocą, tylko mięśnie rąk silniej ścisają rzemienie karabinów.

Światelka miejskie coraz bardziej się przybliżają, jeszcze paręset metrów, jeszcze kilkadziesiąt kroków i oto wkracamy do północnego krańca miasta. Na wszelki wypadek, odpinam „tąską“ mego pistoletu.

Przechodzimy jedną i drugą uliczkę. Cywilnej ludności nie widać, zapewne wystraszeni zagadkowym ruchem wojsk, siedzą w ciemnych izbach; czasem tylko jakiś ciekawski przytknie twarz do szyby, skrzypną uchyłone na moment drzwi domu.

Wchodzimy na obszerny rynek. Plac jest oświetlony, we wszystkich niemal oknach płoną światła. Wszędzie ruch i gwar; na środku rynku stoi masa oddziałów austriackich, broń ustawili w kozły i czekają. Wszędzie kręcą się pojedynczy ludzie, słysząc jakieś komendy, nawoływania, odczuwa się nastrój nerwowego podniecenia.

Jakiś mniejszy oddziałek austriacki, tuż przed nami wszedł na naszą drogę marszu; idziemy zaraz za nim, jakby przedłużając jego kolumnę. Napięcie nerwów u nas jest kolosalne, w tej chwili ważą się losy naszego „być albo nie być“, uda się czy nie uda,—jeszcze kilkadziesiąt metrów do końca oświetlonego rynku. Poprzedzająca nas kolumnienka skręca teraz w prawo a my spokojnie maszerujemy dalej.

Po prawej naszej stronie stoi kilkanaście samochodów ciężarowych; któryś z podoficerów podbiega do mnie i szeptem mi „czybyśmy tak nie zabrali jakiego samochodu? przydałby się“. Taka propozycja w tym momencie, to co najmniej gruba bezczelność leguńska!

Minęliśmy rynek bez przeszkód, zbliżamy się do południowo-wschodniego wylotu miasta. Wszędzie po chałupach i na drodze pełno Austriaków.

Droga podnosi się łagodnie, zwalniamy nieco tempa marszu, by zachować resztę sił w nogach i trochę uspokoić rozklekotane nerwy. Spoglądam na zegarek; jest parę minut po pierwszej w nocy. Przed nami, mniej więcej o kilometr jest Stara Żuczka. Do zakrętu drogi przy wsi Mahala jest jeszcze około 4 kilometrów, a do okopów 10. Przypuszczam, że Brygada musiała już

minąć Rarańczę i zapewne czołowymi drogami przechodzi front. Dochodzimy do Starej Żuczki. Środkiem gościńca, od Mahali zbliża się kilku konnych. Gdy podjechali bliżej, oświetlam latarką elektryczną pierwszego jeźdźcę — kapitana austriackiego. Ten, oślepiiony reflektorem, zaklął głośno i skręcając koniem na mnie zawołał po niemiecku:

— Wer marschieret da?

— Sturmkompanie dreiundfünfzig aus Oberscherautz — odpowiadam bez zająknięcia. W obozie szturmowym faktycznie była kompania tej nazwy, złożona z żołnierzy 53 p. p.

— Zbuntowani legioniści biją się z naszymi pod Rarańczę, szybko tam idźcie! — rzekł kapitan, biorąc nas rzeczywiście za austriacką szturmówkę.

— Auf wiedersehen! — dodał ruszając dalej.

— Respekt, Herr Hauptmann — odpowiedziałem na pożegnanie, dusząc się od śmiechu.

Mijamy Starą Żuczkę, w której spotykamy stojący bezradnie przy drodze, mały oddziałek austriackich karabinów maszynowych.

Dochodzą do naszych uszu odgłosy strzelaniny z kierunku Rarańczy i okopów. Nie ulega wątpliwości, że to przebijające się pułki polskie ciężko torują sobie drogę. Podnieceni tymi strzałami, biegniemy co sił, trzymając w rękę zdjęte z pleców karabiny.

Droga teraz dość gwałtownie wznosi się aż do zakrętu na wysokości Mahali. Teren tu dobrze znany nam z poprzednich pobytów, tak, że mimo ciemnej nocy doskonale się orientujemy. W rowach przy gościńcu leżą popodcinane słupy telegraficzne, robota to naszych „druciarzy“.

Wyłania się przed nami na drodze ciemna jakaś, nieruchoma masa. Zatrzymuję kompanię — kryjemy się do rowów przydrożnych. Po lewej stronie w dole mamy czarny bór, po prawej, także w dole wieś Mahalę. Wysuwam naprzód „szpicę“, sam w niedużej odległości z paroma ludźmi idę za nią...

Napotkana masa, to koniec legionowej kolumny taborowej, oczekującej na rozkaz dalszego marszu. Taboryci stoją przy swoich wozach każdy z bronią gotową do strzału. Od woźniców nic konkretnego nie mogę się dowiedzieć prócz informacji, że przed godziną była wielka strzelanina pod Rarańczą i że niedawno słyszeli w lesie na lewo wielki ruch i nawoływania w języku niemieckim. Widząc, że tabor nie ma żadnego ubezpieczenia na końcu kolumny i świadom niebezpieczeństwa jakie wobec tego grozi od Sadogóry, pozostawiam chwilowo 3 pluton z zadaniem osłony taboru, ze szczególnym zwróceniem uwagi na zagadkowe ruchy w lesie. Reszta kompanii maszeruje dalej. Na najwyższym wzniesieniu drogi, na samym jej zakręcie, spotykam siedzącą w rowie grupkę legionistów, jacyś podoficerowie z taborów, których nie zatrzymując się, informuję o pozostawionym na końcu plutonie, jak również że idą ostatni a za mną nadejdą chyba Austriacy.

Przeszedłszy kilkadziesiąt kroków, napotkamy beładnie posuwającą się jakąś kupę ludzi, zdążającą z pola na drogę. Okazuje się, że to jest gromada rozbrojonych Austriaków, mniej więcej 100 ludzi, prowadzona przez kilku naszych „relutonów“. Zapytuję najbliższego z konwejentów, co to za ludzie i dokąd z nimi idą?

— Jeńcy, zabrani do niewoli, panie poruczniku, prowadzimy ich na tyły! — brzmi dumna odpowiedź.

Odciągnąłem pocziwca nieco na bok, wytłumaczyłem mu, że tu nie mamy już żadnych tyłów a drżącym ze strachu Austriakom

zejść kazałem z drogi na pole i leżeć spokojnie do rana, pod grozą śmierci. Jestem święcie przekonany, że rozkaz ten został wykonany.

Idziemy dalej w kierunku Rarańczy. Noc jest tak ciemna, że dosłownie na pięć kroków nic nie widać. Na drodze napotykamy kilku rannych nieprzyjaciół, chyłkiem przemykających się do lasu i znajdujemy rozwalonego przy rowie, trupa austriackiego kapitana.

Dochodzi godzina trzecia. Słysząc pojedyncze wystrzały karabinowe, ale gdzieś daleko za Rarańczą, jakby w pobliżu okopów. Wnioskuje z tego, że nasi musieli już przejść okopy.

Wobec tego, nie dochodząc do wsi, skręcamy w prawo i na przełaj, przez pola posuwamy się do znanego nam frontu. Nie upłynęło może 20 minut marszu, gdy prawe moje ubezpieczenie melduje o napotkaniem w polu taborze 3 p. p. Dotychczas nikąd żadnych informacji o położeniu Brygady nie mogłem zasięgnąć, ogólnego planu przejścia nie znałem, lecz intuicyjnie tylko wyczuwam, że jak najprędzej trzeba iść naprzód. Podporucznika Organa pozostawiam przy oddziale, sam zbaczam na prawo-wskos, w kierunku wspomnianych taborów. Tu szczęściem odrazu spotykam kapitana Przepilińskiego zrozpaczonego położeniem w jakim znalazły się dowodzone przez niego tabory. Opowiada, że łączności z piechotą nie ma, że wysłał do przodu patrole dla szukania drogi przejazdu przez okopy, tymczasem stoi tutaj, gdyż wozy wjechawszy po ciemku na bezdroża grzęzną, nie mogąc ruszyć naprzód. Informuję kapitana o sytuacji jaką zastałem na końcu jego kolumny, wyrażam wątpliwość, czy zdoła swoje wozy przeprowadzić i proponuję zebrać taborytów, co się da uratować ze sprzętów przenieść względnie przewieźć na lżejszych wozach. Jednak kapitan Przepiliński nie

chciał pozostawić taborów w nadziei, że niedaleki świt da możliwość zorientować się w położeniu.

Po krótkiej rozmowie oświadczyłem Przepilińskiemu że ściągam 3 pluton, gdyż nie mam najmniejszej nadziei, by tabory przeszły. Wysłałem dwóch łączników do plutonu z rozkazem, maszerowania na okopy.

Posuwaliśmy się teraz bardzo wolno, gdyż wciąż strzelane przez Austriaków rakiety z Rarańczy i od wzgórza „Bojan“ oślepiały nas i co parę kroków musieliśmy padać na ziemię.

Świt robi się już na dobre, gęsta mgła poranna ścieli się na polach. W przodzie na prawo, odzywa się artyleria austriacka, biją w okopy i na międzypola szrapnelami, potem ogień skierowują na nieszczęsne tabory, wyciągnięte długim węzłem w dolinie.

Przemy dalej naprzód, pomieszani, pojedynczo, luźnymi grupkami, aby tylko wykorzystać jeszcze szarówkę niknącej nocy. Cały trzeci pluton pozostał jeszcze w tyle, wielu ludzi pogubiło się wśród ciemnej nocy.

Artyleria strzela teraz daleko przed okopami, gdzieś już po rosyjskiej stronie wybuchają pociski.

Pełno tu lejów granatnich i rowów dobiegowych, które trzy lata temu własnymi rękoma kopaliśmy. Nasuwają się wspomnienia owych czasów... znamy tu każdy pagórek, każdy dół, ścieżki wydreptane naszymi stopami, gdy w r. 1915 staliśmy tutaj na pozycji...

Dopadamy do głównych, nieobsadzonych okopów, przez które niedawno przeszła Brygada. Nie zatrzymując się, przechodzimy zasieki drutów kolczastych i dalej wlecziemy się ostatkami sił. Ten i ów z żołnierzy przystaje, rozgląda się, pieści wzrokiem starą, dobrze znaną okolicę, wspomina gdzie która kompania stała, skąd strzelały maszyny, gdzie stał na wedecie...

Jest już zupełnie jasno. — Doszliśmy do dawnych okopów rosyjskich. Artyleria posyła nam szrapnele na pożegnanie.

Zdala widać wyłaniające się z poza opadającej mgły pamiętne wiatraki na wzgórzu Rokitny... przed nami teren sławnej szarży ułańskiej...

Wiatraki stają się coraz wyraźniejsze, coraz bliższe i bliższe... tam właśnie wstaje słońce, w którego blask wpatrzeni, ledwie wlokący się żołnierze idą witać wschodzącą im jutrzrenkę swobody...

Tadeusz Król.

J E D N A N O C

Działo się to jesienią 1917 roku. Korpus posiłkowy Leg. rzucono na front bukowiński pod Czerniowcami. Kawalerię wraz z uzupełnieniem przerzucono do Jabłonkowa i w okolice pod Stryjem. 2 p. p. Leg., w którym służyłem jako podporucznik, kwaterował na Bukowinie w huculskiej wsi Mamajestje, oddalonej od Czerniowiec o kilkanaście kilometrów. Rozbicie Legionów nastąpiło na tle odrzucenia postulatów Marszałka Piłsudskiego przez państwa centralne. Powstały dwa obozy legionistów. Jedni, nie widząc nadziei w biernym stanowisku mocarstw centralnych w sprawie Polski, zdecydowali pozostać w oddziałach i przypatrywać się wypadkom z bronią w rękę, drudzy, nie widząc powodzenia w orężnym współdziałaniu przy boku mocarstw centralnych, byli przekonani o potrzebie szeregienia rozprężenia i zamętu w szeregach armij austriackich i podważaniu siły i znaczenia monarchii austro-węgierskiej i cierpliwego analizowania wypadków.

W tym nastroju rzucono korpus posiłkowy na front Bukowiny. Miało to o tyle dodatni wpływ na organizacyjną zdolność korpusu, że oddalony od kraju i społeczeństwa, oraz od wpływu otoczenia, szerzącego zamęt i rozprężenie w oddziałach legionowych, — w krótkim czasie zdołał on stan psychiczny żołnierzy przywrócić do równowagi duchowej. Myśl, że koledzy z I brygady z jej Wodzem są więzieni, nie dawała spokoju. Wprowadzone systematyczne ćwiczenia wyrwały częściowo legioni-

stów z tego nastroju. W tej pokojowej pracy 13 lutego 1918 r. jak grom z jasnego nieba przyszła hiobowa wiadomość o nowym podziale Polski i przyznaniu traktatem brzeskim rdzennie polskich ziem Ukrainie.

Oburzenie we wszystkich oddziałach Legionów przerodziło się w bunt. Traktat Brzeski usunął rozumowanie, oglądanie się na sprzymierzeńców, skręcając linię myślową nie spodziewanymi rewelacyjnymi pomysłami działania. Wyłoniły się dwa konkretne projekty:

- a) wszcząć przeciw Austrii rewolucję po uprzednim przygotowaniu społeczeństwa polskiego,
- b) wypowiedzieć walkę Austro-Węgrom i Niemcom i połączyć się z korpusami wschodnimi, organizowanymi z polskich żołnierzy wydzielonych z armii rosyjskiej.

Na radzie pułkowników, odbytej wieczorem 13 lutego, został przyjęty drugi projekt, jako bardziej obiecujący. Jednolita koordynacja instynktów bojowych legionistów wymagała natychmiastowego działania, gdyż jawne manifestacje żołnierzy mogły doprowadzić do sparaliżowania planu przez wyższe dowództwa austriackie, które ruchem legionistów były bardzo zaniepokojone. II Brygada składała się w dużej mierze z młodzieży szkolnej wypieszczonej na ideałach naszych wieszczów i przepojonej rycerskimi przymiotami. Jak na owe czasy Brygada II była dużym luksusem polskim, ze względu na element inteligentny i ideowy.

Następnego dnia rano, tj. 14 lutego, nastąpiło we wszystkich oddziałach i pułkach Legionów sprzysiężenie oficerów. Równocześnie w tym samym czasie odbyli sprzysiężenie podoficerowie Legionów, solidaryzując się w zupełności z uchwałą korpusu oficerskiego. Akcję przebicia się na stronę rosyjską oficjalnie zapowiedziano wieczorem na godz. 7-mą. Przymusu do brania

udziału nie było. Przeciwnie, radzono, aby żołnierze, nie czując się na siłach i zdrowiu, wrócili do domów. Żaden z oficerów i szeregowych z oddziałów nie wystąpił. Wszyscy solidarnie wypowiedzieli się za uczestniczeniem w akcji. W dzień, dla odwrócenia uwagi Austriaków, odbywały się we wszystkich pułkach ćwiczenia bojowe. Wszystkie oddziały w ciągu dnia uzupełniały amunicję i zaopatrywały się w niezbędny sprzęt bojowy.

Z rana, na placu ćwiczeń prowadzonych w naszej 11-ej kompanii przez porucznika Borutę Spiechowicza, przybył dowódca korpusu posiłkowego ś. p. generał Zieliński i przypatrując się sprawnie wykonywanym ćwiczeniom, rzekł: „tak moi chłopcy ćwiczyście, że właściwie nie mam nic do powiedzenia, życzyłbym sobie, żeby we wszystkich oddziałach tak to sprawnie szło“. Dziękując dowódcy Borucie Spiechowiczowi za wysoki poziom wyszkolenia, polecił zwolnić ludzi od dalszych ćwiczeń.

W kompanii było nas trzech podporuczników subalternów: Mierzwiński, Wójcik i ja. Wszyscy mieszkaliśmy w jednej kwaterze. W przewidywaniu utraty osobistego sprzętu w walce z Austriakami, fotografie i inne cenne przedmioty pamiątkowe, nagromadzone z całej wojny, spakowaliśmy do walizek i odesłaliśmy do rodziny kolegi Mierzwińskiego, zamieszkałej w Kołomyi. Pożegnawszy się z gospodarzami naszej kwatery o godz. 7-mej wieczorem, stanęliśmy z oddziałem na placu alarmowym. Mieszkańcy wioski wyczuwali nasze przygotowania do rozprawy z Austriakami, to też przed odejściem bardzo serdecznie i z żalem nas żegnali. Żołnierze byli opanowani, zrównoważeni i rycersko nastrojeni.

Kierunek uderzenia korpusu posiłkowego na Austriaków był wymierzony na odcinek północny od Czernowiec pod Rarańczę, po uprzednim zniszczeniu zasobów i urządzeń technicznych

oraz środków łączności armii. Zadanie to powierzone zostało podporucznikowi Stawarzowi Aleksandrowi, który wywiązał się z niego znakomicie, szerząc w czasie naszego marszu bojowego wśród różnych oddziałów i grup wojsk austriackich i pruskich zamęt i dezorientację.

Kolumny ruszyły w kierunku Rarańczy w następującym składzie i porządku: 2 p. p. Leg. z III baonem na czele (dowodził major Orlik Łukoski, za nim 3 p. p. Leg. i treny, następnie oddziały techniczne. W końcu pułk artylerii legionowej, który miał za zadanie osłaniać całość i zasilić własnym ogniem piechotę Leg. Pułkami dowodzili: 2-gim płk Żymierski, 3-cim płk Zajac. Straż przednią całości prowadził podporucznik Graff Stanisław z 2 p. p. Leg.

Od miejsca zbiórki do frontu dzieliła nas zgórą 30-kilometrowa odległość. Na 24-tym kilometrze, o kilka kilometrów za Sadowgorą w nocy z 15—16 lutego o godz. 1-szej wyłoniły się kontury wojsk austriackich rozwiniętych falami w szyku bojowym. To nagłe zaskoczenie II Brygady Leg. w kolumnie marszowej przez Austriaków szanse tych ostatnich znacznie wzmocniło i ułatwiło im zadanie. Wytworzyła się sytuacja bardzo poważna, której najwyżsi nasi dowódcy nie przewidzieli. Na drodze przed falami wystąpiło kilku wyższych oficerów austriackich, najprawdopodobniej poinformowanych przez wziętą do niewoli straż przednią Leg. o celu akcji — usiłując wstrzymać pochód piechoty i nas rozbroić. Na czele kolumny kroczył major Łukoski, za III baonem sztab pułku z pułkownikiem Żymierskim, a między kolumną 2 i 3 pułku sztab korpusu posiłkowego z porucznikiem Malinowskim Tadeuszem. Nasza kompania szła jako druga od czoła kolumny.

Wstrzymanie kolumny zainteresowało por. Spiechowicza. Zraz oddalił się do czoła, do płk. Łukoskiego. Między oficerami austriackimi a por. Spiechowiczem wywiązał się w języku niemieckim następujący dialog:

Oficer austr. — Ja was nie puszczę, gdzie wy idziecie?

Por. Spiechowicz — Diabli wam do tego.

Oficer austr. — A ty wiesz kto mówi, ja jestem oberst-leitnant.

Por. Spiechowicz — A ja jestem oberleutnant, — strzelając równocześnie do oficerów austriackich.



*Z życia 2 p. p. Leg. Pol. na Bukowinie w 1918 r.
Ubezpieczenie marszowe.*

Odległość fal austriackich od kolumny Legionów wynosiła od 20 — 30 kroków. W kilka sekund potem usłyszałem niezdecydowaną komendę „Feuer“ a za nią salwę oddaną przez pierw-

szą falę austriacką w kolumnę legionową. Równocześnie odezwały się karabiny maszynowe. Padła kolumna legionowa kryjąc się na ziemię. Żadnej skargi, żadnego jęku i westchnienia. Tylko turkot karabinów maszynowych głużył ciszę nocy. Pod tym morderczym ogniem na pierwszy okrzyk por. Boruty Spiechowicza „hurra“ kolumna złożona w rowach szosy sadogórskiej piorunem zerwała się na nogi i gromkim przeciągłym przez całą kolumnę podchwyconym „hurra“ uderzyła zwartą masą w pierwsze fale austriackie, z miejsca bagnietami je przełamując i zabierając do niewoli. Gwałtownym natarciem legionistów Austriacy byli przerażeni. Znajdujące się w głębi dalsze fale wojsk austriackich, widząc pierwsze szyki przełamane poczęły się chwiać, cofając się w nieładzie i słabo ostrzeliwując.

Wzięcie do niewoli dużej ilości wojsk austriackich i skupienie się masy legionistów w jeden punkt wywołało chwilowy zamęt. Po stronie wziętych do niewoli, działy się niesamowite sceny. Każdy błagał o litość. W labiryncie różnorodnych i różnojęzycznych złorzeczeń nie można się było zorientować o co chodzi. Pierwsi Czesi awizowali się okrzykami: „panowie legionarze! my sem z wami!, my wasi przyjaceli, my sem Czechy“. W podobną nutę uderzyli Słowacy i Chorwaci. Coś mamrotali i Węgrzy. Jedni Polacy — żołnierze austriaccy zawstydzeni i upokorzeni stali wryci nieruchomo, ocierając brudnymi gałganami łzy.

Mimo, że działo się to wszystko w obliczu nieprzyjacielskiego ognia karabinów maszynowych, rozentuzjasmowani zwycięstwem legioniści zapomnieli o niebezpieczeństwie i początkowo żywionej zemście, rozwijając się w szyk bojowy do rozprawienia się z dalszymi falami nieprzyjacielskimi. Artyleria legionowa, która miała za zadanie poprzeć piechotę ogniem, zawiodła zupełnie, przychodząc do Sadogóry w momencie, kiedy piecho-

ta legionowa własną siłą rozprawiła się z Austriakami. Z drugą falą nieprzyjacielską rozprawił się 2 p. p. Leg. w godzinę potem. Trzecia fala w nieładzie prysnęła, zostawiając otwartą lukę na szerokość 3 — 4-ch kilometrów. Za drugim p. p. Leg. w oddaleniu kilkuset kroków w drugiej fali, nieco w lewo, maszerował 3 p. p. Leg. Po drodze zatrzymaliśmy pod Rarańczą zabłąkanego oficera austriackiego z meldunkiem treści następującej: „Duże siły legionistów maszerują na Rarańczę“. W wąwozie u wylotów wsi Rarańczy spotkaliśmy długą, zbitą, zestrąszoną kolumnę wojsk austriackich, przytuloną nieruchomo do murawy. Byli to Chorwaci pomieszani z Niemcami, Rusinami i Madziarami. Po ich rozbrojeniu teren przedpoła do samych okopów był oczyszczony z wojsk nieprzyjacielskich. Naokoło widnokregu tysiące rakiet rzucanych przez Austriaków i Niemców rozjaśniało horyzont. Do okopów zbliżaliśmy się bardzo ostrożnie. Głównie chodziło o opanowanie wszystkich rozmieszczonych na szlaku uderzenia baterij nieprzyjacielskich. Z powodzeniem uporał się z nimi batalion szturmowy wydzielony z 2 i 3 p. p. Leg. Batalion ów znajdował się w tym czasie na przeszkoleniu szturmowym u Niemców i kwaterował w jednej z wiosek położonej na szlaku uderzenia. Współdziałał on ściśle z podporucznikiem Stawarzem, który miał za zadanie zniszczyć wszystkie środki łączności na szlaku uderzenia. Powiadomiony o powziętej decyzji nasz batalion szturmowy miał za zadanie oczyścić przedpoła, trasę drogi i wzniecić dywersję, zamieszanie i popłoch w oddziałach nieprzyjacielskich. Batalion ten chlubnie swoje zadanie wykonał, ułatwiając w dużej części akcję bojową piechoty. W końcu podeszliśmy pod łącznikowe rowy dobiegowe. Stanowiły one klucz do zdobycia głównych okopów. W myśl planu korpusu oczyszczeniem rowów dobiegowych miał również zająć się wspomniany szturmowy baon.

W akcji plan ten stał się zbędny, gdyż wojska austriackie przedwcześnie opróżniły na przestrzeni kilkunastu kilometrów okopy, tak że doszliśmy do nich prawie bez walki.

Po stoczonej zwycięskiej walce między Sadogórą a Rarańczą z dziesięciokroć przeważającymi siłami nieprzyjacielskimi, których najmniej spodziewaliśmy się, siłą rzeczy nasuwała się myśl, iż Austriacy, mając dobre warunki bezpieczeństwa w okopach, zechcą stawiać opór i dotrzymać nam pola. Przewidywania nasze i dowództwa nie sprawdziły się. Okopy zajęliśmy nad ranem, gdy już dobrze szarżało, ze wszystkich stron dochodziły odgłosy strzałów. Prawdopodobnie staczały walki z Austriakami zabłąkane w nocy luźne oddziały legionistów. Kiedy znajdowaliśmy się w okopach, na lewo od nas 3 p. p. Leg. w ordynku bojowym zbliżał się do okopów austriackich. Treny i artyleria, które były naszą główną troską, znikły z oczu i stały się pastwą Austriaków. Doszły tylko do okopów austriackich 2 i 3 p. p. Leg., pułki posiadające bliźniaczo podobną historię, jednym duchem owiane, pułki, których ostatecznie scementował ostatni akt walki o honor i jeden rytm bicia serc żołnierzy o dobro jutra. W rowach austriackich dopełniliśmy amunicję; broń i karabiny maszynowe zbędne, zdobyte na Austriakach, zmuszeni byliśmy z braku trenów zniszczyć i zostawić na polach walk. Z chwilą, gdy 3 p. p. Leg. wchodził w posiadanie austriackich okopów, 2 p. p. Leg. ruszył w kierunku okopów rosyjskich z białymi flagami dla okazania wojsku rosyjskiemu, że nie żyjemy względem nich zamiarów wrogich ani zaczepnych. W tym momencie austriacka artyleria skierowała skoncentrowany ogień ze wszystkich baterij położonych na linii obstrzału na 2 i 3 p. p. Leg., ostrzeliwując nas w marszu do 2-ch kilometrów za okopami rosyjskimi. W rowach strzeleckich nie zastaliśmy wojsk rosyjskich. Okazało się, że luźne placówki rosyj-

skie w czasie naszego marszu na rosyjskie okopy uciekły do Zwańczyka, a stamtąd do Chocima, gdzie stała ich dywizja mocno przez agitację i rady żołnierskie zdekompletowana.

W pół godziny po przejściu rosyjskich okopów pułk zarządził zbiórke. Straty były stosunkowo nieduże. 2 i 3 p. p. Leg. liczył razem niecałe 4.000. Znużenia, pomimo całonocnego forsownego marszu 45-kilometrowego, połączonego z walkami, nikt nie odczuwał. Przeciwnie, panowała radość nie do opisanania i duma z pokonania wielokroć silniejszego nieprzyjaciela. Apel ten pozostał w niezatartej pamięci. Był on dla nas dniem jedności legionowej wszystkich Brygad i zarazem świętem honoru.

Piotr Michalecki.

NA TYM URYWA SIĘ PAMIĘTNIK

Osamotnienie. Jakież to straszne uczucie dla żołnierza. Gdy nas — drugą brygadę — rzucono na Bukowinę, poczucie osamotnienia ogarnęło żołnierzy wszechwładnie. Nie tak to dawno jak przeżyliśmy cały szereg tragedii żołnierskich. Ale te dwie wystarczą, by w całej pełni wystąpił tragizm sytuacji legionisty: zamknięcie w obozach tych, którzy odmówili złożenia przysięgi, podyktowanej przez Beselera i oddzielenie legionistów — Małopolan od Królewaków. Rozdarcie legionów i rozdarcie serc legionistów.

Zaglądam do mego pamiętnika.

5 lutego 1918 r. Siedzimy w Mamajowcach. Ot — wegetujemy. Część kolegów wyjechała na najrozmaitsze kursy. A wiele nam się jeszcze uczyć wypada. Wszak dlatego wytrwaliśmy na stanowisku, ażeby pogłębiać nasze wiadomości wojskowe i nie rozdrabniać tych małych sił, które w razie czego mogą w zwartych szeregach wystąpić znowu do czynnej walki.

Społeczeństwo podzieliło nas na dwa obozy: na żołnierzy I brygady, tudzież na tych, którzy jako „poddani austriaccy” przeszli do Polskiego Korpusu Posiłkowego. Ale w rzeczywistości nie ma między nami różnicy: pierwsza brygada postanowiła służyć Polsce obecnie konspiracyjnie, my zaś w szeregach zwartych. I pierwsza brygada i my dążymy do tego samego, jedynego celu: przygotowanie kadr wojskowych dla przyszłej, wolnej, zjednoczonej ojczyzny.

9.II. W Brześciu toczą się rokowania pokojowe. Szkoda, że nas tak mało. Liczonoby się wtedy z nami.

12.II. Ukraina zawarła z Niemcami pokój. A Polska? Mocarstwa centralne ogłosiły „niepodległość“ Polski 5 listopada 1916 r. — mimo to nie chcą wycofać swych wojsk z granic polskich. Godzą się na stworzenie „żandarmerii narodowej“ w sile 6.000 ludzi. Poprostu kpiny!

12.II po poł. Zwycięstwa korpusu gen. Muśnickiego (wiadomości te okazały się potem mocno przesadzone. — Przyp. aut.). A my? Siedzimy z założonymi rękami. Jakażby to była teraz piękna, stosowna chwila, by połączyć się z wojskami polskimi po tamtej stronie frontu tworzonymi i pokazać panom z Brześcia, że Polska też ma coś do powiedzenia!

Wystarczyłoby jedno słowo „z góry“, a pułk zdecyduje się na wszystko.

Godz. 6 wieczór. Muśnicki walczy. A we Lwowie Prusacy strzelają do tłumu. Straszna ironia! A my?

Szkolimy się na kadry wojska polskiego... Żeby tak Pierwszy Korpus Polski przekroczył teraz rowy strzeleckie i z nami wkroczył do okupowanych krajów... Boże... To byłby cud.

13.II. Czwarty rozbiór postanowiony na układach pokojowych z Ukrainą.

Godz. 2 po poł. Wśród legionistów daje się odczuwać ferment. Krążą pogłoski o nastąpić mającym rozbrojeniu naszej brygady. Czy byłoby to możliwe do przeprowadzenia? Nie ulega wątpliwości, że brygada stawiała opór. Czy skuteczny — trudno przewidzieć.

Godz. 3 po poł. Rozmawiałem teraz z por. B. Ożywia go chęć połączenia się z oddziałami po drugiej stronie frontu. Ferment w tym kierunku jest powszechny. Sierżant H. odbywa coraz

częstsze wycieczki do 13 p. p. austriackiego. I tam nastrój prawdziwie polski.

Godz. 7 wieczór. Rozwiązanie Legionów? Myśl ta dusi nas jak zmora. Byli u mnie koledzy O. i J. — wszystkich gnębi to pytanie. Miałaby cudowna pieśń Legionów tak strasznym skończyć się dysonansem? Austria ma pretekst do rozwiązania Legionów: wojna z Rosją skończona. Ale czy nasza rola się też skończyła?

8 wiecz. K., S., N., K. i ja zostaliśmy wezwani służbowo do pułkownika. „Stoimy wobec faktów strasznych“ — mówi on — co do nas, to nie dopuścimy, by mundur nasz był splamiony“. Nakazuje surową cenzurę listów, gdyż moglibyśmy łatwo wpaść w pułapkę.

„Jesteśmy otoczeni przez wrogów, a więc nie możemy zdradzić się z własnych planów“.

11.30 wiecz. Dostałem kartkę o następującej treści: „Kraków — Lwów — Przemyśl — Tarnów — przygotowuje się rewolucja przeciwko Austrii. W miastach żałoba — z powodów — jak wiecie — odesłać do domu niepotrzebne rzeczy, aby umożliwić marsze. H.“

14.II. Nabożeństwo żałobne za spokój duszy majora Mężyńskiego, na którym, z powodów służbowych, nie mogłem być obecny, zmieniło się w potężną manifestację uczuć narodowych. Podobno nigdy jeszcze tak z głębi duszy nie śpiewano „Roty“ Konopnickiej, jak dzisiaj. Śpiewał także gen Zieliński. Po nabożeństwie odbyła się odprawa oficerska.

Wkrótce kroki nasze mają być podjęte. Gdzie — niewiadomo. Czy w stronę Galicji, czy Kongresówki, czy — Polskiego Korpusu po drugiej stronie frontu.

Po poł. Rozmawialiśmy z por. Brandysem (zginął jako bohater pod Kaniowem (Przyp. aut.). „Przyjdzie nam bryznąć krwią, ale się nie damy“ — powiedział.

Wiecz. Cenzura listów dała niezwykle ciekawe wyniki. Treść listów niemal wszystkich legionistów: „Austria i Niemcy nas zdradziły. Po drugiej stronie frontu tworzą się oddziały polskie. Połączymy się z nimi jak najprędzej!“.

O godz. 4-ej odbyła się odprawa podoficerska. Przedstawiono jasno sytuację. Mamy być na wszystko gotowi i przygotowani do drogi. Zachować ściśle milczenie i spokój. Wierzyć oficerom! Rozbroić się nie damy!

Na zakończenie odśpiewano „Rotę“.

Na tym urywa się pamiętnik...

Lecz tą chwilą zaczęła się nowa era dziejów II Brygady, która po walkach z Rosjanami, przystąpiła do wojny z Austrią, by wreszcie — pod Kaniowem — rozprawić się z trzecim zaborcą: Niemcami.

Wiktor Brumer.

ŻELAZNA BRYGADA

Wśród gromów i burzy, wśród krwawej zawiei,
gdy Polska orkanów bieżała zagłada,
w bój poszła nierówny, choć przeciw nadziei
żelazna, tułacza brygada.

W bój poszła szalony, w bój groźnych odwetów,
co protest niewoli przed światem zakłada
i imię Ojczyzny na ostrzach bagnetów
poniosła żelazna brygada,

W bój poszła bez laurów, bez blasków, bez chwały,
w ślad za nią smętnica powlokła się blada,
i jeno mogiły a krzyże zostały,
gdzie przeszła tułacza brygada,

Orały pierś kule, płynęła krew świeża,
to posiew przyszłości w bojowisk łan pada.
O Wolność — o Polskę — o Honor żołnierza
walczyła żelazna brygada.

Że szczęścia nie było w granicach Ojczyzny,
że wróg tam panował i krzywda i zdrada,
więc bólem skrwawiona na szlaki obczyzny —
odeszła tułacza brygada

Odeszła — by sromem nie splamić swej duszy,
tym dumna, że czoła pod jarzmo nie składa.
Odeszła — i w ofiar, w rozłuki katuszy
hart brała żelazna brygada.

Choć szczyrby i strzępy zostały z szeregów,
choć w boju rozpacznym ugięła się szpada,
lecz z katorg— z nad Donu — z murmańskich gdzieś brze-
[gów
ku Polsce szła druga Brygada.

Ku Polsce szła z serca przysięgą żarliwą —
co kiedyś potomnym za sztandar się nada —
lecz w służbie dla sprawy po zgonu aż żniwo —
wytrwała żelazna brygada.

Przeminie — wśród bojów i znojów — bezdomna,
bezzańska, żołnierska gromada,
lecz w dziejach ożyje — jak symbol ogromna —
sieroca, tułacza brygada.

I kiedyś, po latach, gdy wolni śnić będą
jak życie się z walki i ofiar układa,
to wskrześnie w ich sercach płomienną legendą —
żelazna, tułacza brygada!

Rajmund Bergel

NA WSCHÓD MARSZ

W chwili przygotowań II Brygady do przebicia się przez front austriacki pod Rarańczą, znajdowałem się na kursie w szkole podoficerskiej 2 p. p. Leg. w Mamajowcach, do której zostałem przydzielony z kompanii 4-tej. Szkołą tą dowodził młodziutki porucznik Bednarz — wybitny instruktor (zginął później już w wojnie polsko-bolszewickiej). Ciągła musztra i ściśle wypełnianie programu dziennego w szkole nie pozwalały nam tak, jak innym legionistom z kompanij, interesować się zdradliwą polityką Austrii i Prus w czasie pertraktacyj pokojowych w Brześciu n/B. Mimo to jednakże, a w szczególności w godzinach wieczornych były prowadzone przez nas pólseptem rozmowy, o protestach społeczeństwa polskiego i zamierzonym strajku kolejowym w Galicji z powodu czwartego podziału dzielnic Polski. Wskutek tych wiadomości, a zwłaszcza wieści o tworzeniu korpusów polskich na wschodzie, podniecenie wśród legionistów rosło i pomimo bardzo intensywnej pracy, udzielało się i nam w szkole podoficerskiej.

W dniu 13.II 1918 r. udaliśmy się do cerkwi miejscowej na nabożeństwo żałobne za duszę ś. p. majora Mężyńskiego, zmarłego na udar serca w Krakowie. W czasie nabożeństwa wraz z trzema kolegami szkoły podoficerskiej, pełniłem przy trumnie w pełnym rynsztunku wartę honorową. Ustawiona w środku cerkwi trumna, zgromadziła na nabożeństwie żałobnym prawie całą II Brygadę. Mimo rozpacz, ze wszystkich lic legionistów

zebranych na nabożeństwie jaśniała pewność, że II Brygada nie będzie biernym świadkiem wypadków i że coś wielkiego stać się musi. W chwili gdy mury świątyni rozdarła pieśń „Nie damy ziemi skąd nasz ród“, we wszystkich oczach zabłyśły łzy, zrozumieliśmy wszyscy, że to przysięga na nową wojnę z Austrią i Prusami.

Po tym historycznym nabożeństwie wypadki potoczyły się już bardzo szybko. Plan faktycznej rewolucji i przejścia przez front układał sztab, a my, by zmylić władze austriackie, upewnieni już, w drodze poufnej, przez swego dowódcę o wymarszu, wypełnialiśmy do ostatniej chwili i to bardzo skrupulatnie nasz dzienny program szkolny. W dniu wymarszu 15.II 1918 r., w czasie ćwiczeń obok toru kolejowego, przejeżdżający w kierunku wschodnim transport żołnierzy austriackich wygrażał nam pięściami, co pozwoliło nam przypuszczać, że nie dało się ukryć przygotowań do wymarszu i że władze austriackie koncentrują swe oddziały w rejonie Czerniowiec. Zachowanie w tajemnicy wymarszu było zresztą rzeczą bardzo trudną, ponieważ prawie wszystkie przygotowania do niego odbywały się w oczach ludności cywilnej, a legionieści stojący u niej na kwaterach przed samym wymarszem pisali masowo listy pożegnalne do rodzin i znajomych.

Pod pozorem wymarszu na nocne ćwiczenia, w godzinach popołudniowych w dniu 15 lutego 1918 r. rozpoczęliśmy pakowanie tornistrów, może trochę za głośnie, bo nawet baby wiejskie dopytywały się nas dokąd tak nagle odchodzimy. Po otrzymaniu odpowiedniej ilości amunicji i żywności, około g. 6-iej udaliśmy się na miejsce zbiórki I batalionu 2 p. p. Leg. tuż nad rzekę Prut, gdzie nasz dowódca, por. Bednarz oznajmił nam przed frontem cel naszego wymarszu i zaznaczył, że kto nie chce wziąć udziału w marszu może wystąpić. Oczywiście, że

z naszej szkoły podoficerskiej nikt nie wystąpił, bo każdy pragnął jak najprędzej znaleźć się w szeregach Polskich korpusów wschodnich. Dlatego też nie mogły wywołać większego wrażenia słowa por. Bednarza, który w krótkim swym przemówieniu powiedział: „Chłopcy, należy pamiętać, że w czasie przebijania się tyły dla nas nie istnieją i bodaj po własnych trupach musicie iść naprzód“. Z doniosłości słów naszego dowódcy każdy z nas aż nadto jasno zdawał sobie sprawę i wiedział co go czeka, gdy w czasie walki brygady przy przebijaniu się stehórzy i pozostanie w tyle, dostając się w ręce Austriaków. Następnie rozległy się ciche słowa komendy: „Baczność — dyrekcja korpusu generała Dowbór-Muśnickiego — marsz“.

Z nakazem zachowania ciszy, wśród ciemności bezksiężycowej nocy rozpoczął się marsz. Wzdłuż wsi na szosie ustawione były tabory. Wiesz jakby wymiółł, tu i ówdzie tylko błyska latarka elektryczna. W domach pogaszono światła. Marsz odbywał się bardzo szybko, a później prawie biegiem. Przed m. Sadogórą odczuliśmy silne zmęczenie, o spoczynku jednak nie mogło być mowy, chodziło bowiem o jak najszybsze osiągnięcie Rarańczy. W Sadogórze nasi telefoniści w czasie przemarszu dokonywali niszczenia połączeń telefonicznych i telegraficznych, co oznaczało, że kroki wojenne z naszymi niedawnymi sprzymierzeńcami Austrią i Prusami już są rozpoczęte. Maszerując dalej ulicami Sadogóry, spotkaliśmy stojący samotnie samochód ciężarowy, na którym, obok kierownicy spał owinięty w kożuch żołnierz niemiecki. W czasie przemarszu przez Żuczkę, również obserwowaliśmy spokój honwed-huzarów, grających najspokojniej w świecie w karty w jasno oświetlonych chłopskich chałupach. Na skrzyżowaniu dróg stały posterunki alarmowe, które mijaliśmy spokojnie, nie przeszkadzając im w ich zadumie. Po przebyciu Mahali wyczuwaliśmy, że lada

chwila zostaniemy zaszypani ogniem, tym bardziej, że poza nami, już gdzieś w rejonie Żuczki, dały się słyszeć coraz gęstsze strzały. — Widocznie nasze tabory zostały zaatakowane.

Tuż przed Rarańczą, od strony zachodniej wsi, na czołe naszych kolumn dało się słyszeć kilka pojedynczych strzałów, a bezpośrednio po nich zatrajkotał karabin maszynowy, zasypując nas, w zwartej kolumnie, gwałtownym ogniem. Huk kilkunastu granatów ręcznych i gromkie „hura“ naszej kompanii szturmowej, zmusiły natychmiast do milczenia ostrzeliwujący nas austriacki karabin maszynowy. Zmieszani chwilowo i przyczajeni po obu stronach szosy rozsypaliśmy się błyskawicznie wśród ciemności nocy w tyraliery. Nieostrzeliwani, posuwaliśmy się jednak bardzo wolno naprzód, ponieważ austriackie reflektory zewsząd nas oświecały, wskutek czego raz po raz musieliśmy przypadać do ziemi. Na skraju wsi otrzymałem rozkaz od por. Bednarza, by wraz z dwoma ludźmi pilnować około 20 jeńców austriackich, zabranych do niewoli przez kompanię szturmową. Rozkaz ten był dla mnie o tyle przykry, że nie wolno mi było posuwać się naprzód, lecz czekać w miejscu przed Rarańczą obok szosy na dalsze rozkazy. Znajdujący się w grupie jeńców pewien chorąży, wiedeńczyk (o ile sobie przypominam z 99 p. p.), dopytywał się przez cały czas, czy nie mu nie grozi z naszej strony, a w obawie o swoją skórę — chcąc widocznie nam pochwiliwić — pochwalał naszą akcję wobec Austrii i Prus. Z przyległych rowów szosy, na której czoło naszej kolumny starło się z Austriakami, dochodziły przeważnie w języku niemieckim jęki rannych. Mimo, że linie tyralierskie brygady dawno nam już zniknęły w ciemnościach nocy, wciąż jeszcze słychać było w pobliżu nas zewsząd pojedyncze strzały i okrzyki „halt“, podsuwających się i krążących obok nas patroli austriackich. Czułem, że moja sytuacja jako komendanta

eskorty i przydzielonych dwóch kolegów staje się coraz to bardziej nie do pozazdroszczenia. Około godziny 3 lub 4 nad ranem od strony wschodniej Rarańczy, usłyszeliśmy silne wybuchy granatów ręcznych. W pół godziny później wyrzucane w górę światła różnokolorowych rakiet świadczyły o tym, że pułki brygady znajdują się już po drugiej stronie frontu. Zaczynało świtać. W szarym brzasku dnia obok szosy wyłoniło się przed naszymi oczami kilka skostniałych trupów austriackich. Dalej za nami na drodze stoją nasze tabory, wyczekując również beznadziejnie na dalsze rozkazy. Nasi jeńcy owinięci w koce chrapali przytuleni jeden do drugiego.

Było już prawie widno, gdy stojące na drodze tabory ruszyły naprzód. Widząc beznadziejność dalszego wyczekiwania na rozkaz, poleciłem jeńcom by udali się do wsi, a sam z dwoma kolegami, dołączając do idącej na przodzie wozów grupy taborytów, podążyłem z nimi szybkim marszem naprzód w kierunku południowo wschodnim od Rarańczy.

W chwili, gdy znajdowaliśmy się w odległości około jednego kilometra od okopów, austriacka bateria, ustawiona w lasku (odcinek grupy Papa z 1915 r.) od strony południowej, zasypała czoło naszych taborów szrapnelami, zagrażając im w ten sposób drogę. Dalsze posuwanie się taborów w tych warunkach było niemożliwe. Rozsypaliśmy się w tyralierę. Podchodząc pod okopy austriackie, zauważyliśmy kilku wychylonych z nich żołnierzy, którzy ku naszemu ogólnemu zdumieniu wskazywali nam wygodniejszą drogę w kierunku drutów kolcących na przedpolu. W zrytym rowami strzeleckimi i łącznikowymi terenie widać było wszędzie ślady przedzierających się nocą pułków naszej brygady. Tu i ówdzie leżały porzucone wyładowane plecaki i łopatki. W głębokich rowach strzeleckich dyszały

ciężko wpadnięte konie, objuczone amunicją, przedstawiając żalosny i niesamowity widok. Około godziny 9 rano w liczbie około 20 legionistów przekroczyłem okopy austriackie. Stojący przy drutach kolczastych posterunek alarmowy, w sposób bardzo uprzejmy wskazywał nam ścieżkę, prowadzącą przez druty na przedpole i życzył szczęśliwej drogi, za co też obdarzyliśmy go chlebem i papierosami. Mijamy opróżnione, wskutek rewolucji, okopy rosyjskie i zastanawiamy się poco właściwie Austriacy mają nadal obsadzone okopy. Tuż pod wsią Rokitną, artyleria austriacka, tym razem od strony wsi Toporowiec (koledzy twierdzili, że to była niemiecka bateria), jak gdyby na pożegnanie posłała za nami kilka szrapneli, które nie wyrządziły żadnemu z nas krzywdy. Po krótkim wypoczynku i posiłku w Rokitnie ruszyliśmy dalej za brygadą na Ryngacz. W obawie przed pościgiem kawalerii austriackiej maszerowaliśmy bardzo szybko. Po jednodniowym marszu nasza „samodzielna grupa“ przed Chocimem dołączyła do brygady, gdzie każdy zameldował się w swoim szczupłym oddziale. W ten sposób zakończyłem swój okres działania w pojedynkę. Dalsze losy dzieł z kompanią 1 2 p. p. Leg., do której nasza szkoła podoficerska, po przejściu, została wcielona. W dniu 12.III 1918 r. w uznaniu zasług przy przebijaniu się, nastąpiły awanse o jeden a nawet dwa stopnie wzwyż wszystkich oficerów i szeregowych brygady. Po długich i uciążliwych marszach, nastąpiło połączenie się brygady w Sorokach z Polskim Korpusem Stankiewicza. Tu brygada przywdziała mundury, dostarczone przez Korpus i rozdzielono ją pomiędzy poszczególne pułki korpusu.

W ten sposób znalazłem się w kompanii 1 13 pułku strzelców, pod zmienionym wskutek rozkazu nazwiskiem „Siwiec“.

W czasie bitwy kaniowskiej, 12 maja 1918 r., pod wsią Jamczychą, dostałem się do niewoli niemieckiej. Wzruszający był moment, gdy dowódca naszego pułku, płk Nowicki, eskortowany przez Niemców wraz z całym pułkiem do stacji, w pewnej chwili wybuchnął płaczem i począł rozdawać kawałki pociętego sztandaru 13 p. strzelców pomiędzy nas. Następnie zaznaczył płk Nowicki, że jeżeli któremu z nas uda się zbiec z transportu, powinien zgłosić się na punkcie zbórnym 13 p. strzelców w kościele św. Piotra i Pawła w Moskwie.

Jan Wyroba.

«AUSZUG AUS DEM TAGE- BUCH FRA NZ PAWLISZ»

Okreźnymi drogami z austriackiej „Nachrichtenstelle“ dotarł do Muzeum Śląskiego w Katowicach pamiętnik kol. Franciszka Pawlisza z 2 p. p. Leg. Pol.

Kontuzjonowany podczas przejścia pod Rarańczą kol. Pawlisz ukrywa się w okolicy. Złapany przez żandarmerię austriacką, zostaje osadzony w obozie w Bustia-Haza na Węgrzech, skąd udaje mu się zbiec. Ponownie złapany, znów ucieka w czasie transportu i przez pewien czas ukrywa się w Kołomyi i Lwowie. Ze Lwowa usiłuje przedostać się do pułku, jednak w Kamieńcu Podolskim zostaje aresztowany po raz trzeci, tym razem już definitywnie.

Odebrane mu zapiski, które prokurator austriacki ochrzcił nazwą „Auszug aus dem Tagebuche des Fr. Pawlisz“, trafiły po wojnie do rąk filologa p. Stanisława Bąka, który bez wiedzy autora ogłosił je drukiem w 1933 r., zaopatrzwszy komentarzem lingwistycznym jako „Przyczynek do znajomości gwary Polaków w Morawskiej Ostrawie“.

Wyjątek ze wspomnień kol. Pawlisza jest przedrukiem z wymienionego wydawnictwa, z zachowaniem stylu i pisowni.

Józ od kilku dni nastąpiło między nami rozstrojenie i stałe szeptu i ruch świadczyły że jeszcze w żyłach naszych krew burzi ji żeśmy jeszcze ducha niestraćili pomimo żeśmy józ mieli pół czwarta roku Wojny za sobą. — Było to dnia 14 lutego gdy nadzedł czas spłacania naszej krzywdy która nam została wirządzona przez państwa centralne przy zawarciu pokoju z Ukrainą w Brzeszczu Litewskim. — Dzień ćternastego lutego wryty zostanie w pamięć każdemu żołnierzowi Polskemu który służył w ten czas w drugiej Brygadzie Legionów Polskich. Obchodziliśmy w ten dzień żałobne nabożeństwo za Majora Męzińskiego, —

po nabożeństwie mieliśmy smutną dla nas odprawę kś kapelana z trzeciego Pułku o czwartem rozbiórce Polski co dotknęło serca nasze, po nabożeństwie zaśpiewaliśmy kilka pieśni Narodowych i gdy kś zanucił rote nierzucim żymi skąd mój ród to wiara że żalem rykła tak jak nigdy. Był w ten czas w Rosiji Generał Muśnicki który miał zorganizowaną dwieście tysięczną armię Polską, ji my postanowili za odwet połączyć się z Generałem i zwal-



*Współżycie legionistów z ludnością huculską.
Tańce niedzielne w Mamajowcach.*

czacz wroga postanowiliśmy przejść przebojem przez front austriacki postanowienie było niepowstrzymane pomimo żeśmy wiedzieli że będziemy mieli pracę i trud ciężki bo od kilku dni józ austriacy zwąchali i wysyłała wojska na odcinek przez który my mieli przechodzić. My zaś mieli kontakt z pułkiem morawskim który stał w ten czas na pozycji ji on nas miał przepuścić oraz

dwa pułki polskie L 13 i 16-ty mieli razem snami przejść, ale los temu tak niechciał i austrijaci zwachając nasze zamiary, ten pułk zciągli i na jego miejsce dali ośm pułków Madżarskich!

Mamajesti 15 Lutego). w Mamajesti wieś w której była cała Brygada zakwaterowana nastał ruch od samego świtu podoficerzy przechodzili jeden do drugiego i grupkami mieli naradi, Ji ja



*Obóz internowanych legionistów II Bryg. Leg. Pol. w Szaldobos.
Weseli więźniowie dokonują wyboru „Generał-majora“ baraków.*

że niedługo byłem w kompanij i nieznałem jeszcze dobrze swoich ludzi którzy mie zostali przydzieloni jako pluton trzeci, informowali mie o nich ale że miałem silną energije ludzie mie zaufali ji ja był śnich także zadowolony. Po obiedzie nastąpiło faszowanie prowiantów i mundurów tak-że amunicyje brali chłopcy po 150 i 200-ście i granatów ręcznych po śieść, o godzinie 5.30

była wijdana na śpiech kolacja ji o godzinie 6-stej zbiórka za wsią na rzeką Prutem z powodu że ludność ciwilna nieśmiała się dowiedzieć co my zamierzamy zrobić bo my ji mówijli że jidziemy na generalne cwiczenia bo smy się obawiali o zradę, zbiórka była wykonana w pół godziny bo dyscyplina między żołnierzami była doskonała i pomimo tego każdy śpieszył by dojść do celu do jakiego dąży. Maszyrowaliśmy wzdłuż Prutu aś za wieś tam przesłiliśmy przez tór kolejowi i maszerowali drogą polową aś na gościniec który prowadził do miestećka Sadogóry po drodze śmy naładowali karabiny i nienarzikając zdążali ku frontu kdzie nas czekała krwawa praca, gdzie na nas czekało jóż Wojsko Węgerske dobrze uzbrojone, kdyśmy przimaszerowali nad wieś Mahale tam została zatrzymana nasza szturmkompanija która szła jako szpica ubezpieczenie naszej kolómny, wieś ta leżała pięć kilometrów od frontu austriackiego ale że austriacke Wojska byli jóż świadome z naszego planu to się okopali śila jejich się składała z jednego Baonu. Po krótkich układach wydał komendant tego Baonu ognia na naszą szturmukę, ale że nasi ludźe jóż się byli podpełzali pod same okopi dali tak-że salwe z granatów ręcznych i spowodu blizkiej odległości zaledwie dżiesięnczu kroków, każdy strzał był celny i okopij austriacke zostali zdobyte przez naszych bohaterów zabrali resztki z tego Baonu, które się składali z 27 żołnierz i reszta poległa i zostali ranni, Z naszych poległo dwóch i 6-ciu rannych. Po tej zdobyczy Przijechał żołnierz z meldunkiem że nasz tren został zabrany przez Wojska austriacke w Sadogórze kdy mu zajechali dwie Lokomotywi pancerne i po krótkem boji muszał uleć prześile. My zaś maszerowali do wsi Rarancze kdzie się nasz Śtab zatrzymał trochę śpoćić my zaś zdobywali okopij jedny podrugych których było ośim rzędów zabierając ze sobą dwie baterije artylerije austriackej. Při zdobywani ostatniej liniji zaszarżowali nas dwa Szwa-

drony Husarrów których zabraliśmy wszystkie za granice po zdobyci ostatniej linie dowiedzieliśmy się że tren nasz został drugi raz zabrany i tak-że nasza Artelerya która się o dwie godziny spóźniła reszta trenu wjechało do wsi Rarancy, My czekając w okopach na tren dowiedzieliśmy się że Brygadier Haller został ranny poczem przekonaliśmy się gdy go prowadzili rannego za granice, Ji zaraz wydał rozkaz żeby nieczekacz na tren tylko maszerować dali niś nadejdą nowe siły austrijacke! Przeszliśmy granice rosyjskiego wojska w okopach niebyło i my maszerowali spokojnie do wsi jóż Rosijskiej Rokitnej ja podrodze przeskakując okop rosyjski wytknołem nogę, ale mie koledzi doprowadzili aś do wsi w której mie zostawijli poniewasz niebyło wozów, że bych mógł jechać dali za nimi.

Franciszek Pawlisz.

OD RARAŃCZY DO SADOGÓRY

Zmierzch zimowego wieczoru rozpostarł się nad cichą wioską Mamajeszti. Błade światła z małych okien chat wiejskich coraz to rzedniały. Widać, że gazdowie uporawszy się ze swą dzienną pracą odmawiają wieczorne pacierze i do snu się kładą.

Noc zapada jakaś inna niż poprzednie. Niczym wobec niej czerwcowe noce świętojańskie z legendarnym i tajemniczym kwiatem paproci. Nocy tej mają się ziścić piękne sny i marzenia legunów II Brygady.

Tej to dopiero nocy spełni się potajemna wieść od paru dni nurlująca umysły żołnierzy, bo oficerowie już dawniej coś w sobie ukrywali. Więc naprawdę II Brygada ma się przebić tej nocy przez pozycje austriackie dla połączenia się z Korpusem gen. Muśnickiego stojącym po tamtej stronie okopów na ziemiach państwa rosyjskiego.

Ta prawda postawiła tego wieczoru wszystkich legunów na nogi. Teraz zrozumieli legioniści, że zamiast zapowiadanych od kilku dni ćwiczeń nocnych będą zdawać Ojczyźnie egzamin z dotychczasowych doświadczeń bojowych, że tak być musi, że o swoją wolność walczyć muszą choćby na obcej ziemi, że o zabraną nam przemocą niepodległość upomnieć się trzeba tylko z mieczem w rękę, że na naszych dotychczasowych „sympatyków“, którzy nam w Brześciu swoje prawdziwe oblicze pokazali obdarzając nas za naszą naiwność czwartym rozbiorem Polski,

skargę zanieść w świat musimy, że dla żołnierza II Brygady pozostał teraz tylko Honor i Ojczyzna.

Takim zapałem i nadzieją bliskiej wolności zagrzani wałą leguny tego 15-go w lutym wieczoru, cicho, różnymi drogami do jednego i przez wszystkich upragnionego celu. Ludzie różni — duch jeden. Suną jak cienie kolumny szarych mundurów po przez słabo śniegiem zaprószone pola, trzymając się zdala od główniejszych dróg, by własnego celu wobec wrażej siły przedwcześnie nie zdradzić.

Mały oddziałek wyłonił się z kompanii sztabowej 2 p. p. złożony coś z 12-tu żołnierzy wyruszył pod moim dowództwem ze Starych Mamajowiec koło godz. 20-ej w kierunku na Leńkowce. Żołnierze w pełnym rynsztunku, zaopatrzeni w granaty ręczne i nabite karabiny, kroczyli obydwu rowami szosy. Chociaż mrozem przejmujące powietrze przyspieszało nasze kroki, szliśmy wolno obserwując bliższy lub dalszy teren. Na szosie i koło szosy leżały lub sterczały poprzerywane słupy telegraficzne i pozrywane druty, widać, że przed nami są już nasi, przecież austriacy nie mogliby tak zniszczyć swych połączeń. Szkoda, że nie było nam przeznaczone być pierwszymi w tym czynie, ale nie jesteśmy też ostatni, wszak za nami są jeszcze tabory w Mamajowcach, które w czasie akcji mamy osłaniać po złączeniu się w drodze z kompanią szturmową, mającą tu gdzieś czekać.

Podobno pułkownik Zieliński też z nami idzie, pułk. Haller nas prowadzi, idzie również artyleria, a kawaleria to pewno już czeka na nas gdzie w lesie pod Rarańczą.

Takimi i tym podobnymi zdaniem i półgłosem wypowiadanyimi uzupełniamy nasze skromne żołnierskie wiadomości.

Wtem usłyszeliśmy za sobą z oddali warkot samochodu i coraz jaśniejsza smuga światła reflektora zbliża się ku nam. Już widać dwa żarzące ślepią motoru. „Wszyscy do rowu, kryć się,

karabiny przed siebie i czekać!“ — pada rozkaz. W miarę zbliżania się samochodu kształty jego stają się wyraźniejsze, a po jego rozmiarze i huku motoru zdaje się, że to pancierka, pewno austriacki wywiad.

— „Przygotować granaty, rzucać tylko pod spód auta, pod motor. Przed tym dajemy dwie salwy z karabinów w motor, a potem granaty w ruch! — Znak do salwy gwizdek!“ — pada drugi rozkaz.

Kurczowo trzymamy karabiny u celu, upojeni bliską chwilą i obawą czy nadzieją, czy uda się nam tego smoka ubezwładnić. Widać już wyraźnie, nie jest to auto pancerne, a tylko zwyczajne wojskowe, za nim drugie, którego turkot w połączeniu z pierwszym sprawił z odległości wrażenie motoru pancernego. Za drugim autem z dalszej odległości jechało trzecie.

Pada rozkaz „przepuszczamy wszystkie auta, kryć się i obserwować!“! Auto pierwsze i drugie śnać zauważyły naszą przy drodze obecność, gdyż z podwójną szybkością przemknęły nam przed nosem. Jechali w nim jak i w drugim wojskowi austriaccy, po chwili przejechało auto trzecie zdaje się cywilne. Powstajemy i idziemy dalej żartując z małej chmury, z której deszczu nie było. Za mało nas było byśmy mogli 3 auta opanować. Zresztą naszym zadaniem było zatrzymywać ludzi pieszych czy jadących różnymi środkami lokomocyjnymi ze Starej Żuczki w naszym kierunku, a nie odwrotnie. A może to Bogu ducha winni pasażerowie jechali sobie w swoją stronę.

W dalszym naszym pochodzie złączywszy się z kompanią szturmową opowiedzieliśmy o naszej przygodzie i tamci też twierdzili, że były to auta całkiem dla nas obojętne.

Mijamy tor kolejowy. Tu stał mały przystanek kolejowy, opatowany mrokiem i dziwną ciszą. Lampa naftowa przyćmiona, jakby wiedziała a nie chciała być świadkiem przemarszu naszych

żołnierzy. Jeden z dwóch ludzi, którzy tam dyżurowali drzemał, czy też udawał, że drzemie, drugi zaś z nieufnym lękiem przyglądał się naszym sylwetkom przesuwającym się wśród mroku. Szliśmy do Żuczki, bo tam mieliśmy się złączyć z taborem, Słiliśmy w tę daleką, ciemną noc, bo tam u jej wschodniego kresu widzieliśmy wolności świt.

* * *

Zziębnięci, znużeni nocnym marszem i napół senni, stanęliśmy koło północy na wzniesieniu przed Rarańczą. Tam czekaliśmy nadejścia artylerii legionowej. Kolumna wozów rozciągnięta gdzieś na polu czy polnej drodze zatrzymała się wraz z nami. Artyleria zawodzi, nie widać jej, czekamy dalej. — W tym przeciągłym, prawie że wiecznym oczekiwaniu senność ogarnia mniej wytrzymałych. Skulone postacie okułane ciężarem polowego ekwipunku, oparte o karabin, lub na jednonogiej klęczce, albo nawet siedząc na zmrożonej ziemi drzemią jednym okiem, a śnieg z mroźnym wiatrem zdaje się podtrzymywać naszą czujność.

Tę dość długą i przykrą drzemkę przerwały znane wszystkim świsty i krótkie pacanie koło nas kul karabinowych. Wiara już na nogach.

Czyśmy zostali otoczeni, na co tu czekamy, chcemy iść, pewno już diabli wzięli artylerię tam w tyle, skoro nas już tu macają. Takie i tym podobne zdania słysząc, a tu kule coraz gęściej sypią. Czekać, bo niema rozkazu do dalszego marszu. Więc w pozycji przyziemnej czekamy cierpliwie początku lub końca naszej sytuacji.

Dochodzą nas wiadomości w związku z tą strzelaniną, że austriacy zaatakowali nasz 3 pułk i dostali magulanie, to znów że zaatakowali nasze tabory, ale leguny ich skwitowały, że jeszcze musimy czekać na artylerię. Najwięcej zasmuciła nas po-

głoska, że ktoś zdradził nasze zamiary przed austriakami, którzy mieli na skutek tego otoczyć naszą artylerię.

Kule już folgują, noc trwa i zasłania nam wszystko, ale też kryje nas przed okiem wroga, może to i jedyne nasze szczęście, bo gdyby brakło tej ciemności nie moglibyśmy tu nawet czekać. Zimno dobiera się do szpiku kości, artylerii nie widać. Niecierpliwość przeistacza się tu i ówdzie między żołnierzami w szemranie, bo chcą iść naprzód, żeby tylko przed świtem, choćby na czworakach, byle tam za okopy.

Minęło sporo czasu, bo jedna godzina była tu wiekiem. Nareszcie ruszyliśmy naprzód. Idziemy powoli jak z pogrzebem, bo artyleria jeszcze do nas dołączy, wozy turkoczą, mimo to idziemy cicho, droga prowadzi w dół. Mojemu zastępowi żołnierzy przypadło strzeżenie wozów 2 p. p. jadących przodem kolumny.

Byliśmy w dolinie gdy doszła nas wiadomość, że nasze pułki już przechodzą przez okopy. Ta wiadomość dodała nam nowych sił i otuchy. Pryśły niestety jak bańka mydlana nasze nadzieje na przybycie artylerii, podobno została zdradzona i austriacy ją osaczyli, a tu na domiar złego szarzeje. Wobec tego mimo nakazanego spokoju, zaczynają się nawoływania — „naprzód, byle prędzej, bo z tej strony okopów jesteśmy zgubieni“.

Byliśmy jeszcze w dolinie. Przed nami widnieje w zmroku jeszcze jedno wzgórze do przebycia. Za wzgórzem okopy, a za nimi dopiero będziemy wolni. Pułki naszej piechoty już przeszły. Szczęśliwi. Taborzy jeszcze tu. To przystają, to jadą i znów stoją. Widać, że ta cała masa wozów, koni i ludzi traci swój właściwy rytm, poddaje się jakiejś sile chaosu, jakby przeczuwając swój los beznadziejny . . .

* * *

Brzask pochmurnego nieba nad Rarańczą począł bezlitośnie wyświeślać nasze położenie przed okiem zaalarmowanych już

austriaków. Widać już prawie wyraźnie całą kolumnę wozów rozciągniętą wśród drogi i pól, gotową do dalszego marszu. Ja z moimi ludźmi i przednimi wozami byliśmy już na przeciwnym wzgórzu za doliną. Przed nami drzewa, za drzewami okopy, a za nimi nasze zbawienie. Z tej to strony świt jasny nęcił nas ku sobie.

Zapewne tamci, którzy przeszli ślą ku nam wzajemne myśli, czy też danym nam będzie do nich się dostać. Niestety! Kule artyleryjskie początkowo pojedyncze potem coraz gęstsze poczynają gwizdać nad nami. Za nimi zaczynają nagrywać i ciężkie karabiny maszynowe. To znów słychać manlichery, pewno to walka z naszymi legunami szukającymi przebojem drogi.

Na głos tej muzyki kolumny się rwą do śmiertelnego marszu. Luźne wozy, konie i ludzie wszystko pędzi ku przodowi, jeden przeciw drugiemu. Już cała dolina przepełniona końmi, wozami i ludźmi. Zupełny obraz targowiska w czasie pożaru miasta. Wszyscy chcą iść tam za szczęśliwcami, których noc przeprowadziła przez okopy, chcąc iść bodaj samopas, byle iść i nie czekać już na sakramentalne słowo rozkazu. A kule świszczą. Wiadomość, że drogę nam zamknęto i jesteśmy osaczeni podnieca jeszcze bardziej rozdrażnione w swej ambicji legunów umysły. Mówią, że nasi tam o tę drogę walczą na bagnety, więc jest nadzieja, że przejdziemy zdrowi.

Ogień artylerii austriackiej i karabinów stał się celny i stokrót silniejszy. Kule padają jedna przy drugiej. Dolina znajduje się w krzyżowym ogniu prawie ze wszystkich stron. Istne piekło na ziemi. Słychać jęki rannych i konających. Ludzie w obronie swego życia chronią się gdzie mogą, pod wozy, leżą w zagłębieniach ziemi, w wykopanych na przódce dołkach. Konie rwą zaprzęgi, biegają samopas lub padają od kul. Wśród kłębówisk

dymu widać wznoszące się lub opadające strzepy z rozbitych kulami artylerii wozów i zmarzniętej ziemi.

We dwóch doczołgaliśmy się wśród gradu kul pod jakieś drzewo na wzgórzu, dość grube, zdaje się, że była to grusza polna. Tam przytuliwszy się do ziemi, jak dziecię do matki, czekaliśmy śmierci, odmawiając jak i inni pacierze. Ścinane kulami padały gałązki gruszy. Wydłużone postacie ludzkie pełzały na łokciach ku strumykowi w dolinie, by uratować się przed kulami. Zasłonięni częściowo drzewem, częściowo plecakiem, z karabinem przy boku oczekujemy jeszcze na rozkaz, boć przecież nie podobna byśmy tu czekali, aż „Jancie“ (austriacy) przyjdą po nas i sromotnie nas ubezwładnią. Nagle krótkie szarpnięcie mej nogi zastanowiło mnie przez moment. Pewno dostałem kulę w nogę, ależ nic mnie nie boli, widocznie gruda ziemi lub gałąź mię trąciła. Po chwili czuję na nodze ciepło. Oglądam się, opodal gdzie stał osiodłany koń przywiązany do wozu, leży już wyciągnięty trup koński, koni dyszlowych ani woźnicy niema. Z drugiej strony kuchnia polowa trafiana kulami odpowiada głucho metalicznymi jękami. Przykro będzie paść tu od dalekiej kuli wysłanej z ręki niewidocznego wroga, gdy własnym karabinem nie można odpowiadać.

— Czy słyszycie wy tam za dwoma frontami, coście nas tu zostawili na pastwę wroga — co się tu z nami dzieje?! Ha szczęśliwi jesteście i my dumni z waszego szczęścia, bo wasze zwycięstwo jest i naszym zwycięstwem; jeśli ulegniemy przemocy to ciałem, bo duszą jesteśmy z wami. —

Kanonadzie austriackiej nie ma końca; znać, że nas się boją, prażą i prażą. Musi ich tam być moc, bo tyloma wysypanymi na naszą garstkę kulami możnaby parukilometrowy front utrzymać, a nas tu w tej dolinie jest tylko garstka.

Brawo leguny!

Po kilkugodzinnej mordowni podobnej do biblijnej walki Dawida z Goliatem, artyleria i karabiny maszynowe milkną. Zrzadka jeszcze przegwizdują pojedyncze kule. Wiara bierze się do roboty. Wiadomo już wszystkim, że mała garstka legunów w dodatku niezupelnie uzbrojonych, niedospaną nocą, marszem, zimnem i głodem wyczerpanych, a na dobitek piekielnym prawie półdziennym ogniem oszołomionych wobec przygniatającej siły w zamkniętym pierścieniu wojsk austriackich wystąpić nie może. Wiemy także, że po ujęciu każdego z nas jako zdrajcy „Vaterlandu“ należy się tylko „kula w łeb“.

Zaczyna się wianie w różne strony, łamanie lub topienie karabinów w potoku wraz z nabojami. Tam grupa sprytniejszych legunów, mimo poświsztujących kul, wzięła się do obrabiania kasy pułkowej, która podobno została rozbita przez artylerię, dzielą się banknotami, które w paczkach porozrzucane leżały na ziemi. Inni, a była ich spora ilość do tych i ja należałem bandażują sobie rany.

Na szczęście dostałem podskórny przestrzał podudzia, niewielka krzywda. W plecaku znalazłem zakutane w bieliznę dwie kule karabinowe. Austriaków jeszcze nie widać.

Południowe słońce przedziera się po przez chmury i zachęca do dalszych przedsięwzięć. Kule jeszcze przelatują. We trzech puściliśmy się wzdłuż potoku na południowy wschód, zostawiając za sobą martwe pobojuwisko zabitych rannych, konie i wozy.

Pozostała za nami dolina zbiorowego niemego protestu oblanej krwią polską i przypieczętowanej kulami przemocy. W drodze zamieniłem mój stary manlicherek, który przez wyrzucenie zamka i złamanie karabinu między dwoma pniami, zabezpieczyłem przed dalszym użyciem, na nowiuteńki, leżący na ziemi,

przez kogoś porzucony. Nie chciałem się karabina pozbywać, bo liczyłem jeszcze na jego pomoc, sądząc, że jesteśmy jeszcze w obrębie pierścienia austriackiego. Jeden z moich towarzyszy był bez karabinu.

Idąc tak, natrafiliśmy na rowy strzeleckie prawie świeżo wykopane. Tymi rowami zdążamy sami nie wiedząc dokąd. Gwizd kul prawie ucichł. Zatrzymujemy się i oglądamy za Austriakami. Byliśmy gdzieś w polu, opodal czerniał las. Za nami w odległości może 2-ch kilometrów pozostała pamiętna już na całe życie dolina Rarańczy. Wokoło pusto, a może w tym lesie są Austriacy — nie, to niemożliwe, przecież tędy kule gwizdały.

Wyjmujemy po konserwie z plecaków, przegryzając chlebem i zakrapiając kawą to niesamowite zwycięstwo, bośmy z życiem uszli. A kula, która nas czeka to też zwycięstwo? — bo trudniej będzie z tą jedną niż z tymi, które gęsto obsiały pola Rarańczy.

Po krótkim biwaku rozeszliśmy się z jednym z towarzyszy, który czując się chorym postanowił wrócić i udać się do najbliższej chaty. We dwóch udaliśmy się na południe z zamiarem przedostania się do Rumunii, jeżeli się nam to uda. Sądziliśmy, że w tym kierunku najłatwiej nam będzie opuścić znienawidzoną obecnie „opiekunkę“ Austrię. W Rumunii spodziewaliśmy się ocalenia. Mimo rany szedłem pośpiesznie w towarzystwie przygodnego kolegi, który na wspomnienie Rumunii, a zwłaszcza przekradania się przez zieloną granicę do Rumunii tracił na minie.

Miało się już ku wieczorowi, gdyśmy się znaleźli na zachodnim skraju wsi Bojany. Dziwiło nas, że w dotychczasowej naszej wędrówce nie spotkaliśmy żołnierzy austriackich, którzyby nas o coś indagowali, ale spodziewaliśmy się ich w tej wiosce. Weszliśmy do pierwszej na uboczu wsi stojącej lepianki i tu dowiedzieliśmy

się, że we wsi jest dużo wojska austriackiego. Chcieliśmy dostać chłopskie przebranie, ale kobiecina nie miała w chacie, a szukać dalej obawialiśmy się, by nie wpaść. Kobieta opowiedziała nam, że słyszała jak legionarze się zbuntowali i opuścili swój „vaterland“, przeszli przez pozycję i poszli do moskali. Przypadkowo znalazłem czapkę austriacką, którą ukradkiem schowałem. Oznajmiliśmy gospodyni, że jesteśmy Niemcami, ona zaś poczęstowała nas gorącym mlekiem i małąjem.

I tak w tej chacie zapadł dla nas ciemny mrok, jakże różny od wczorajszego wieczoru. Wczoraj szliśmy wszyscy w dużej sile ku wolności, dziś szukamy jej w pojedynkę, wczoraj szliśmy w cały świat, a dziś od wsi do wsi i bez pewnego celu. By nie zdradzić naszego we wsi pobytu, opuściliśmy chatę i wdarliśmy się po ciemku do jakiejś starej stodoły i tam zagrzebawszy się w słomę spaliliśmy do świtu, nie czując nawet zimna. Przed zaśnięciem mój towarzysz wyraził chęć dostanie się do Czerniowiec, gdyż tam jak twierdził jest jego wujek, który mógłby nas z opresji wybawić. Zdecydowaliśmy w końcu, że będziemy się nawzajem konwojować, wykorzystując w ten sposób posiadanie czapki austriackiej.

* * *

Wczesnym rankiem 17. II. dygocąc z zimna przebrany w czapkę austriacką prowadzę swego „jeńca zbuntowanego legionarza“ z Bojan przez pola ku torowi kolejowemu, informując się tu i ówdzie o sytuacji w okolicy, przytym tylko z konieczności szliśmy drogami, by nie spotkać austriaków a tym bardziej oficerów austriackich. Mimo tych ostrożności spotykali nas austriacy, ale oni, chociaż po mnie wtedy gorące mrówki chodziły z obawy wyspania się, obserwowali więcej i przede wszystkim zbuntowanego „jeńca“.

Za torem kolejowym na południowy zachód od Mahali zmieniliśmy nasze role. Było już zdaje mi się południe. Weszliśmy w jakieś krzaki, by się zamaskować przed okiem ludzkim. Według opowiadania naszej wczorajszej gazdziny i spotykanych ludzi do Czerniowiec z Bojan miało być około 20 km za torem kolejowym, a na przełaj, jakto my niby idziemy, wypadało znacznie mniej i że tak idąc z Bojan nawprost pieszo można do Czerniowiec zejść na południe; a my już idziemy pół dnia i pewno jesteśmy nie daleko Czerniowiec.

Tu zastanawiamy się przed dalszym przekradaniem się, bo przecież trudno nam będzie przedostać się w dotychczasowym stanie poprzez żandarmerię i wojska znajdujące się już nawet na przedmieściu. Żałowaliśmy naszego pierwszego planu przejścia do Rumunii, chociaż nie mieliśmy i tu racji. Trzeba koniecznie zdobyć przebranie chłopskie. Łatwiej znaleźć ubranie dla jednego, ale dla dwóch to trudniejsza sprawa, jednak za pieniądze to i dla dwóch się znajdzie. Złożyliśmy pieniądze i postanowiliśmy czekać do wieczora, by o zmroku udać się do Mahali i zdobyć ubrania. Pod wieczór towarzysz wystrojony w czapkę austriacką udał się do wsi. Ja pozostałem, by przypadkowo w czapce legionowej mnie nie ujęto. Towarzysz miał wrócić najdalej za dwie godziny.

Minęły już pewno dwie godziny. Ciemny i zimny mrok zapadł. W około cisza. Czekam i nad słuchuję jeszcze dużo czasu, prócz odległego naszczekiwania psów nie nie słysząc. — Przepadł. Ostatni towarzysz mnie opuścił. Zmarzłem. Dalej czekać nie sposób.

Ponieważ zimno i głód zaczęły mi dokuczać poszedłem wzdłuż toru, by znaleźć jakieś schronienie. Idąc tak na oślep dostałem się na drogę. Sądząc że ona mnie gdzieś zaprowadzi udałem się

nią na prawo. Przy drodze w dolinie kilka światła wskazywało, że tam są domy. I rzeczywiście wszedłem w małą zagrodę. Rozczarowanie mnie ogarnęło, gdy w pierwszej chacie dowiedziałem się, że te chaty należą do Mahali. Po wczorajszym noclegu w stodole i całodziennym marudzeniu po polach czułem się zaziębiony, a ciepło w chacie zachęcało do odpoczynku. Była już godz. 10-ta. Posiliwszy się ciepłą kolacją za zgodą gospodarza ułożyłem się do snu na wiązce słomy, zdjawszy z siebie plecak i płaszcz. Spałem nerwowo, w obawie przed czymś nieokreślonym. Chociaż w chacie było ciepło, trzęsła mną febra. Rana na nodze poczęła dokuczać. Po północy zasnąłem.

Nad ranem przebudziwszy się ubrałem płaszcz, pas i karabinek oparłem o kolana. Tak siedząc na słomie oparty o ścianę zastanawiałem się dokąd się teraz udać i czy mój obecny gospodarz dotrzyma słowa i obdarzy mnie cywilnym ubraniem o które miał się na dzisiaj rano postarać. Jeżeli ubrania nie dostanę, to muszę zawczasu wiać ze wsi w pole. Tymi myślami zaprzątnięty zasnąłem jeszcze raz.

Zbudziło mnie silne szarpnięcie karabinu wyrwanego mi z ręki. Przede mną stało dwóch żandarmów trzymających najeżone bagnetki zwrócone do mnie. Jak błyskawica przeszła mi myśl — już cię kula nie minie — chciałem krzyczeć, chciałem rzucić się na znieawidzonych „trepów“.

Obrewidowali mnie i moje manatki i zawyrokowali w języku austriackim: „a teraz chodim na feldgerichtu“. — Więc jeszcze sąd polowy mnie czeka, a sądziłem, że taki zdrajca „vaterlandu“ i dezterter ginie bez sądu. To ci dwaj nie są jeszcze panami mojego życia. Oznajmiłem, że nie mogę iść pieszo, bo jestem ranny w nogę.

Dostałem za to kolbą i upadłem na ziemię. Kazali mi pokazać ranę. Noga była mocno spuchnięta, czerwona i zaschłą krwią zamazana.

Przyprowadzono podwodę i wgramoliłem się na furmankę i pod opieką bagnetów zostałem odwieziony do Sadogóry, gdzie zebrała się już spora ilość „amatorów“ sądu polowego.

Adam Kędzior.

The first of these is the fact that the American Medical Association is a voluntary association of physicians. It is not a government agency, nor is it a part of the government. It is a private organization, and its members are free to join or leave it at will. This is one of the reasons why the American Medical Association is able to maintain its independence and to represent the interests of its members without being subject to government control.

Another reason why the American Medical Association is able to maintain its independence is that it is a non-profit organization. It does not have any shareholders, and its assets are held in trust for the benefit of its members. This means that the American Medical Association is not subject to the same financial pressures as a for-profit organization, and it is able to focus its resources on the interests of its members.

Finally, the American Medical Association is able to maintain its independence because it is a national organization. It represents the interests of physicians throughout the United States, and it is able to coordinate its efforts with other national organizations in the medical profession. This gives the American Medical Association a strong voice in the national debate on medical issues.

In conclusion, the American Medical Association is a unique organization that is able to maintain its independence and to represent the interests of its members. It is a voluntary association of physicians, a non-profit organization, and a national organization. These factors give the American Medical Association the strength and independence to represent the interests of its members without being subject to government control.

MAJOR WŁODZIMIERZ
JOSEF MEZYNSKI

Z KSIĘGI CHWAŁY
2 P. P. L E G. P O L.

2

1

Z KSIĘGI CHWAŁY
Z P. P. I. E. G. P. O. L.

MAJOR WŁODZIMIERZ JÓZEF MĘŻYŃSKI



Ś. p. major Włodzimierz Józef Mężyński ur. w 1889 r. w Tarnopolu już od wczesnej młodości bierze udział w pracy niepodległościowej. Od 1912 r. należy do Strzelca. Wybuch wojny zastaje go przy warsztacie pracy społecznej, jako redaktora „Robotnika Tkackiego“ w Bielsku. Zorganizowawszy w Białej Ślą-

skiej silny oddział Strzelców wstępuje z nim w Krakowie do 2 p. p. Leg. Pol.

Z 2 p. p. Leg. Pol. odbywa kampanię Karpacką, Bessarabską i Wołyńską. Szybko przebywa poszczególne stopnie, tak, że w dniu 16 kwietnia 1916 r. otrzymuje awans na majora, dowódcę batalionu. Przez krótki czas w 1916 r. dowodzi czasowo 2 p. p. Leg. Pol.

Żołnierz nieustraszonej odwagi i zdolny dowódca nieugiętego męstwa zdobywa mir i niezwykle przywiązanie podwładnych i przyjaźń oraz szacunek u kolegów.

Przed wszystkim jednak w szlachetnej postaci ś. p. majora Mężyńskiego wysuwa się na pierwszy plan miłość Ojczyzny o najwyższym napięciu ideowym. Wytrwale stojąc na stanowisku, że w walce o niepodległość nie należy wypuszczać broni z ręki ś. p. major Mężyński głęboko i boleśnie odczuwa wszystkie wstrząsy, jakich los Legionom nie poskąpił.

Na wieść o haniebnym traktacie brzeskim major Mężyński umiera na atak serca, w dniu 10 lutego 1918 r.

Wiadomość o tragicznej śmierci powszechnie kochanego oficera wywarła ogromne wrażenie w II Brygadzie. Pogrzeb Jego stał się wielką manifestacją patriotyczną i antyaustriacką, silne wrażenie zaś, jakie pozostawiły uroczystości pogrzebowe przyczyniło się niewątpliwie do powzięcia i wykonania decyzji przejścia II Brygady pod Rarańczą.

Odznaczony krzyżem Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych.

MAJOR WŁADYSŁAW GNIADY TRZECIESKI



Ś. p. major Władysław Gniady Trzeciecki urodz. w r. 1888 w Tłumaczu, gimnazjum ukończył w Kołomyi, następnie studiował na politechnice we Lwowie. Od r. 1906 pracował w tajnych organizacjach niepodległościowych młodzieży, a po ukończeniu gimnazjum wstąpił do tworzących się Drużyn Strzeleckich we Lwowie, gdzie po ukończeniu kursu oficerskiego, zaj-

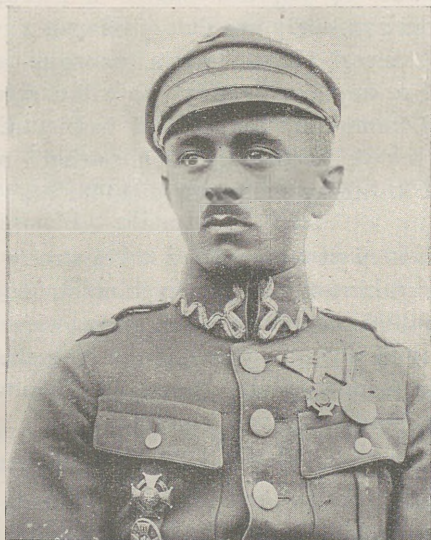
mował wybitne stanowisko w Komendzie Naczelnej, poświęcając się z zapałem studiom wojskowym.

Z chwilą wybuchu wojny wyruszył wraz z drużynami strzeleckimi do Legionów. Brał udział w organizowaniu 2 p. p. jako adiutant I baonu z 2 p. p. przeszedł kampanię karpacką, bukowińską i wołyńską. Dnia 27 listopada 1914 r. zostaje mianowany podporucznikiem. Dnia 1 listopada 1916 r. — kapitanem. W r. 1917 ukończył kurs oficerów Sztabu Generalnego w Warszawie i jako jeden z nielicznych oficerów legionowych został zaliczony w poczet oficerów S. G. II Brygady Leg. Pol.

W dniu 15 lutego 1918 r. jako jeden z inicjatorów przejścia II Brygady przez front austriacki, przechodzi na Ukrainę. W II Korpusie pełnił specjalne funkcje polityczne jako delegat Korpusu do armii rumuńskiej. Dostał się na dwór króla rumuńskiego, gdzie spowodował znaną deklarację przedstawicieli państw Ententy na dworze rumuńskim, w której ambasadorowie Francji, Anglii, Włoch i Stanów Zjednoczonych oficjalnie uznali Niepodległą Polskę z dostępem do morza. Bezpośrednio przed bitwą pod Kaniowem wysłany został w specjalnej misji do Rady Regencyjnej w Warszawie. Dowiedziawszy się, że Korpus został rozbity i rozbrojony przez Niemców, poza tym zgębiony niepowodzeniem swej misji w Radzie Regencyjnej i przemęczony fizycznie, zachorował na gripę i po trzech dniach zmarł w Warszawie dnia 15 maja 1918 r.

Odznaczony orderem *Virtuti Militari* i Krzyżem *Walecznych*.

KAPITAN RUDOLF BRANDYS



Ś. p. kapitan Rudolf Brandys ur. dnia 30 września 1895 r. w Trzebieńczycach, pow. Oświęcim. Przed wojną był przez 3 lata harcerzem. Do Legionów wstąpił 6 sierpnia 1914 r. Służył przez cały czas w 2 p. p. Odbył kampanię: karpacką, bukowinąską, bessarabską i wołyńską.

W noc z 15 na 16 lutego 1918 r. po krótkim starciu w okolicy Mahali, utorował drogę aż do najbardziej wysuniętej pierwszej linii austro-niemieckiej, idącemu w straży przedniej 2 p. p. Leg. Pol. II Brygady.

W dniu bitwy kaniowskiej, 11 maja 1918 r. pierwszy stanął na forpocztach na południowy zachód od Kozina, odpierając ataki Niemców, a następnie, gdy przyszedł rozkaz, jako ostatni począł wycofywać się poprzez bagna w kierunku Masłówki. W połowie drogi zamknęły mu dalszy odwrót z obydwóch stron zwarte niemal szeregi nieprzyjaciela uzbrojonego w karabiny maszynowe. Ś. p. kapitan Brandys po kilku salwach z garstką żołnierzy swej kompanii, zaatakował bagnetami grupę Niemców znajdujących się po prawej stronie drogi i pokonawszy ich odebrał broń i karabiny maszynowe, które zaraz skierował na nieprzyjaciela.

Widząc to Niemcy nadciągający z lewej strony otworzyli morderczy ogień karabinów maszynowych w stronę żołnierzy ś. p. kapitana Brandysa zmieszanych już prawie z żołnierzami niemieckimi z prawej strony, wycinając ich wszystkich co do nogi. Ciężko rannego ś. p. kapitana Brandysa Niemcy dobili bagnetami, zadając kilkadziesiąt ran kłutych.

Odznaczony Krzyżem Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych.

KAZANIE W XV ROCZNICĘ RARAŃCZY

260 lat temu — w Stanisławowskiej kolegiacie, stał na środku kościoła katafalk rzęsiście oświetlony, a na nim spoczywające trumny obrońców podolskiego Kamieńca. Świątynię wypełnił tłum szlachty, oficerów i żołnierzy różnego autoramentu i broni po brzegi. Po żałobnym nabożeństwie na ambonę wstąpił X. kapelan Kamiński i przy akompaniamencie doboszów rozpoczął swą mowę żałobną: Panie Pułkowniku Wołodziejowski — dlaboga — larum grają — a Ty się nie zrywasz? — a Ty gdzie pod śmiertelnym całunem spoczywasz?

Mościapanowie — żałosne larum symfonii Stabat Mater co dopiero przebrzmiało... w stołecznej garnizonowej świątyni na katafalku trzy trumny, a obok nich adstał Mater Polonia — w osobach przedstawicieli dostojników Państwa, Rządu, Sejmu, Senatu i naszej Armii, aby oddać ostatnią posługę: Ketlingowi — Szul Skiöldkronie, Wołodziejowskiemu — Brandysowi, adiutantowi 2 Brygady majorowi Gniademu.

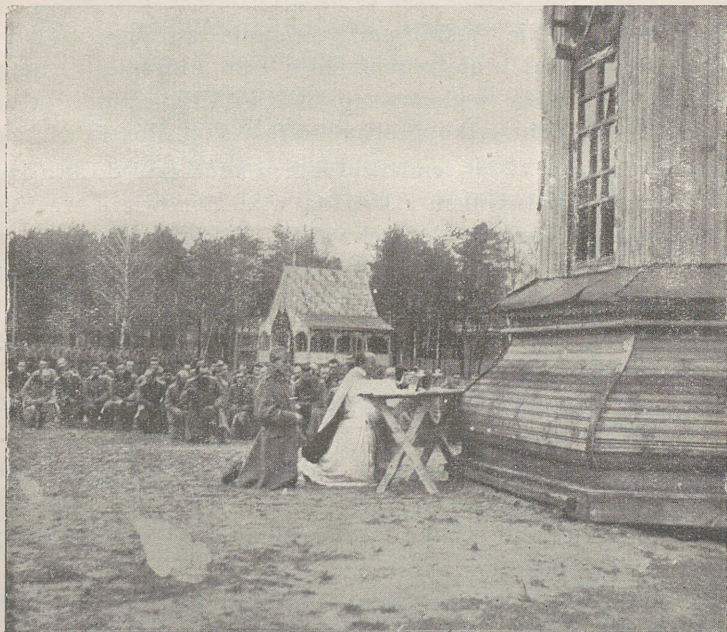
15 lat temu hiobowa wieść na telegraficznych drutach rozniosła czwarty rozbiór Polski postanowiony Brzeskim traktatem. Steroryzowany okupacją naród, którego co dzielniejsi synowie albo na froncie, albo internowani w obozach czy kryminalach, naród nie mając nawet możliwości protestu, odział się kirem żałoby. Dopiero gdy do leżącej z bronią w ręku na rubieżach Polski w Rarańczy, 2 Brygady doszła ta wieść potworna — na całą

Polskę, ba na całą Europę, buchnął z 2 Brygady zbrojny huk — protest: VETO — nie pozwalamy!—a CI TRZEJ w trumnach— to są właśnie z tych, co uczynili rzecz wielką, świętą i sprawiedliwą. Na stos rzucili swój życia los! Krwią swoją purpurową podpisali traktat o nienaruszalności granic Polski, granice wytoczyli swymi grobami, nauczyli nas w z g a r d y dla kompromisów i politycznych paktów, wzgardy dla wszystkiego, co nie jest Ojczyzną, nauczyli nas wiary w te moce nadprzyrodzone, co się w duszach lęgną od Boga i duchem zwyciężają, a wobec których niczym są strategie wojenne i armie.

Dobrze to jest i chwalebnie, że w 15 rocznicę Rarańczy zebraliście się tu Mościpanowie Bracia, gdyż radbym dziś po kapełańsku rozdać pomiędzy Was Komunię Ducha, podnieść Was na wyżyny, iżbyście stamtąd dojrzeć mogli te wszystkie mogiły naszych braci, co od lat 15 skryli się w łonie matki ziemi okryci zaszczytnym całunem: dulce et decorum... radbym, iżbyście wszyscy tu zebrani rozpamiętywując ich ofiarę życia wryli sobie w pamięci na zawsze zasadę na jutro i pojutrze *difficilius est pro patria vivere...* Umrzeć w obronie Ojczyzny to ofiara chwili, ale żyć i pracować owocnie a po bożemu — nie mniej trudniejsze bohaterstwo.

Żałobna ta uroczystość zebrała nas tu nie na zwykły pogrzeb, bo na pogrzebie oddajemy ziemi tego, kogo się utraciło — a my przecież chcemy zachować tych kolegów, których niedawno z zagranicy odzyskaliśmy i pogrzebiemy ich w ziemi na głośne i dla współczesnych i potomnych świadectwo że: „szkołą życia nie są same tylko księgi i uczonych pism foliały — ale i groby bohaterów zmarłych dla ojczystej chwały“... W odrodzonej Ojczyźnie tacy zawsze będą polskim abecadłem boha-

terstwa, a patriotyzmu i ofiary z życia uczyć się trzeba u mogił i kurhanów tułaczy bohaterów. Ludzie dzisiejszego pokolenia przekorni, przebiegli, którzy są gotowi do upadłego procesować się z odzyskaną Ojczyzną o każdy artykuł i paragraf swoich



Msza polowa.

zawodowych czy osobistych praw, o każdą złotówkę swojego zarobku, tacy powinni często przystawać nad grobami naszych tułaczy-bohaterów, aby w miałkie umysły takich rodaków wstąpił ich duch ofiarny i z nimi pozostał na zawsze. Tam na Po-

wązki wojenne przywodzić należy najmłodsze polskie pokolenie, aby uczyło się bezinteresownej pracy i poświęcenia dla Matki Ojczyzny, a w tej garnizonowej świątyni—całować bohaterskie nazwiska ryte na marmurowych płytach i wołać: Przez Was to, przez Was żołnierzyki żyje RZECZPOSPOLITA!

Mościpanowie. Nie spełniłbym sumiennie swojego zadania, gdybym przemilczał, a nie wspomniał o Tym, którego tu trumny nie masz — autora legionowego EXORIARE: hen... gdzieś z niego na Kubaniu tylko prochy szare... ś. p. Józefa Mączki.

Kiedy z okopów 17 lat temu wysyłałem wierszyki do krakowskich dzienników, bywałem z korektą w Legionowie u wachmistrza Mączki — przeczytał, pochwalił — dodając, że może za mało w nich nuty religijnej i pierwiastku duchowego — zaczął czytać mi swoje:

„Przy Twym ołtarzu Jezu Chryste — po latach w pełnej
stojąc zbroi

Do Ciebie wnosim modły czyste — żołnierze polscy
słudzy Twoi...

Przy Twoim Grobie Chryste Panie — na baczność stoim
dziś w pokorze...

Błagamy niech się wielka Polska stanie — O wielki, mocny,
święty Boże...

Przed Twym Ołtarzem Jezu Chryste — Chylim bagnety
i pałasze...

Błogosław serca nasze czyste — i krwawe ręce nasze“...

Tak mógł pisać tylko człowiek na wskroś religijny—tak mógł tylko pisać i tworzyć żołnierz prawdziwie Chrystusowy — tak pisał miłujący Matkę Syn — wachmistrz legionowy ś. p. Józef Mączka... Cześć Jego rotmistrzowskiej pamięci i chwała...

Dosyć... Dosyć...

A na zakończenie: niech moje słowo będzie —

Jako pasterskie do Was orędzie —

Tak dostojne jak te trumny

Z których bije triumf dumny...

„Bo nie chwalić mi dziś wodze — jeno onych co pomarli...

Co się na bitewnej drodze — ciałem w glinę ziemi wżarli...

Wszczepili w nią pazurami — i krzyczeli w głos oczyma:

Jezu zmiłuj się nad nami — i sercem wielkim olbrzyma...

I rozpaczą i szaleństwem poprzez rany, krew i blizny

Do wolnej doszli Ojczyzny.

Dziś ostatnim oczu błyskiem — w tej świątyni przystanęli
jako stróżowie anieli, przez źrenic opary krwawe — by cud
ujrzeć po śmierci — Warszawę...

Niech więc o nich słowo będzie — jako kielich, co krwią
przelan

Pośmiertne w Bogu orędzie—miast wieńca składa kapelan“.

O miłosierny Jezu Chryste — Odpoczywanie daj im wie-
kuiste,

Bo Oni w srogim padli boju—niech odpoczywają w pokoju.
Spracowali się jak żniwiarze — hen na bitewnych pól
obszarze

O dajże im Jezu Chryste — odpoczywanie wiekuiste.

Niech złote jesienią pada liście — i niech im stroi grób
złociście —

A zimą biały śnieg otuli — bo leżą nadzy, bez koszuli —

A wiosną jasną i błękitną — niech im na polach kwiaty
kwitną —

Takie czerwone krwią oblane — jakbyś ich świętą widział
ranę —

A latem zlecą się skowronki — i jako srebrne dzwonią dzwonki —

Od świtu aż na panowe—dzwonią im dzwonki legionowe—

O dajże im daj Chryste — odpoczywanie wiekuiste“...

Tak módlmy się za ich szlachetne dusze, a każda modlitwa za poległych niech kończy się żarliwą prośbą, aby już nigdy, nigdy nie było wojny na polskiej ziemi, aby już nigdy żadna nie płakała matka, a ci co po nas przyjdą, aby nie umierali młodo jako Ci w trumnach, ale żyli długo, mnożąc promienistą potęgę życia:

Pro Deo et Patria..

Amen.

(Kazanie wygłoszone w XV-lecie Rarańczy, na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie, nad grobami bohaterów II Brygady ppłka Szula, mjr. Gniłdego i kpt. Brandysa).

Ks. Władysław Antosz.

K I E D Y Ś...

*Kiedyś... po latach — gdy ścichną te fale,
które nas w wichrów porwały odmęty,
kiedy opadnie huragan krwi wzdęty
i łzy obeschną i znikną już żale —*

*ze czią ujmiecie pogięte pałasze
i zawiesicie na ścianach wysoko,
i łzą serdeczną zabłyśnie wam oko,
gdy wam powiadać będą dzieje nasze...*

*I będzie pełen znów każdy zakątek
polskich relikwii i polskich pamiątek,
i znowu ogniem zapłoną wam lice
w te narodowe, żalosne rocznice —*

*i w niebo pieśni popłynie orędzie —
kiedyś — po latach — gdy nas tu nie będzie!...*

JÓZEF MĄCZKA.



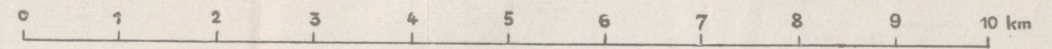
T R E Ś Ć:

	Strona.
1. MARSZAŁEK JÓZEF PIŁSUDSKI o II Brygadzie Leg. Pol.	4
2. MARSZAŁEK EDWARD ŚMIGŁY-RYDZ — Przemówienie w dniu 15-lecia Rarańczy	5
3. TADEUSZ MALINOWSKI — W XX rocznicę	9
4. BRONISŁAW PAWŁOWSKI — Rarańcza	11
5. JÓZEF MĄCZKA — Starym szlakiem	17
6. TADEUSZ MALINOWSKI — Posiew i plon	19
7. MIECZYŚLAW BORUTA SPIECHOWICZ — 11 kompania	29
8. ZYGMUNT TRZASKA DURSKI — Mój udział w przejściu pod Rarańczę	34
9. MICHAŁ WIERZBICKI — Wspomnienie z 15 lutego 1918	51
10. JAROSŁAW ŚWIECHOWSKI — Kartki z pamiętnika	61
11. TADEUSZ KRÓL — Egzamin	77
12. PIOTR MICHAŁECKI — Jedna noc	103
13. WIKTOR BRUMER — Na tym urywa się pamiętnik	113
14. RAJMUND BERGEL — Żelazna Brygada	117
15. JAN WYROBA — Na wschód — Marsz!	119
16. FRANCISZEK PAWLISZ — Auszug aus dem Tagebuche des Franz Pawlisz	127
17. ADAM KĘDZIOR — Od Rarańczy do Sadogóry	133
18. Z KSIĘGI CHWAŁY 2 P. P. LEG. POL.	147
19. KS. WŁADYSŁAW ANTOSZ — Kazanie w XV rocznicę Rarańczy	155
20. JÓZEF MĄCZKA — Kiedyś	161

Zestawił i przygotował do druku Feliks Olas.



RARAŃCZA I OKOLICE





48500/
2